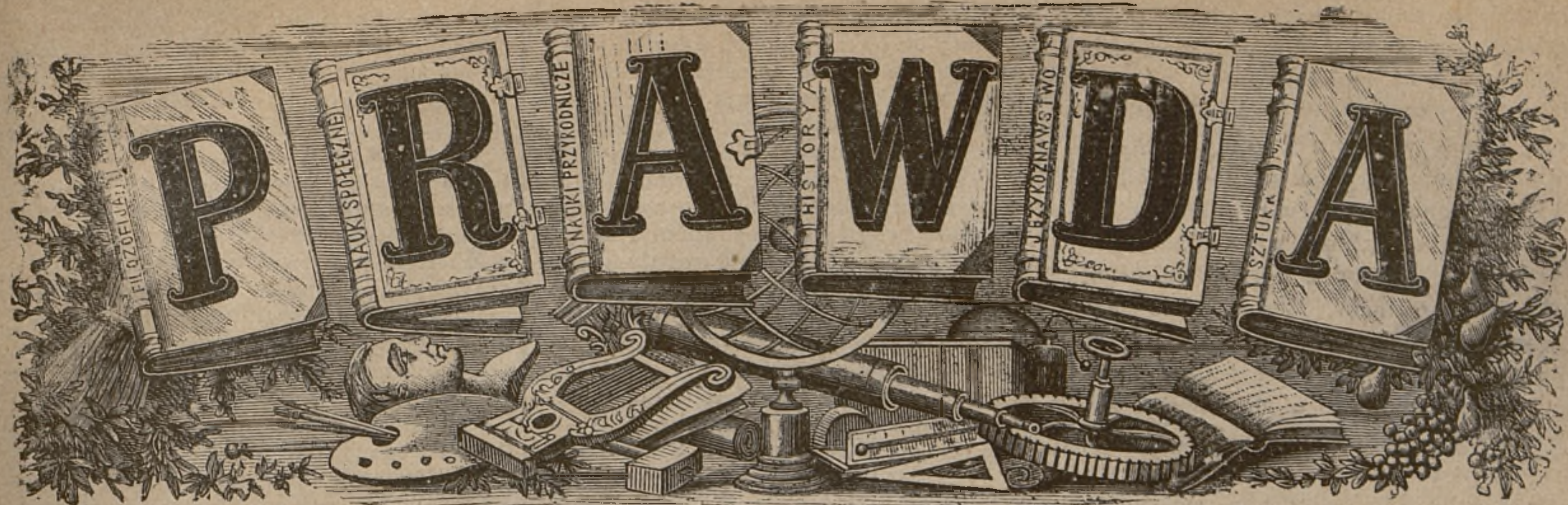
№ 5. Warszawa, dnia 4 Lutego (23 Stycznia) 1888 r. **Rok VIII.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Wyłuskane ziarna.— Tydzień polityczny.—Przed Gilotyną, urywki niewydane z pamiętników J. Turgeniewa. — *Sprawy ekonomiczne*: Konkurencya amerykańska II. p. Gozdawę. — *Badania naukowe*: Upór jako objaw bezwładności umysłu I. p. W. Kozłowskiego. — *Literatura i sztuka*: Prerafaeliści p. E. P. — Literatura polska: J. I. Kraszewski. Król w Nieświeżu. Adolf Dygasiński. Nowe tajemnice Warzawy p. Cezarego Jel. — Filograf. Praktyczny sposób ustalenia pisowni polskiej p. J. F. Gajslera. — Literatura rusińska p. Iwana Franko. — *Fejleton:* Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. Drogomira. — Prasa ruska. — Zawiadomienia urzędowe.— Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ofiary.—

POLITYKA.

WYŁUSKANE ZIARNA.

Od końca do końca Europy cała niemal jej prasa roześmiała się po wysłuchaniu obrad sejmu niemieckiego nad nową ustawą przeciw socyalistom. W tym szyderczym chórze słyszymy głosy zarówno gazet francuzkich i włoskich — radykalnych, jak ruskich — zachowawczych. I z czego, a raczej z kogo ta wesołość?

Rząd Niemiec, albo krócej mówiąc — ks. Bismark, nie mogąc sobie poradzić z socyalistami pomimo ostrych praw wyjątkowych, zażądał od sejmu przedłużenia tych praw na lat pięć a nadto opatrzenia go mocą wypędzania z kraju jednostek szkodliwych. Synowie Germanii nawet wtedy, kiedy praktycznie nie mają odwagi do oporu, lubią go teoretycznie uzasadniać. Po za korną więc trzodką kanclerza zaczęto jego pomysłowi stawiać rozmaite papierowe tamy: że wkracza w dziedzinę sądów, że im odbiera i policyi oddaje bardzo rozległą władzę, że wytwarza środek, który bardzo łatwo może być nadużytym itp. Ale z tych wszystkich gadanin wypływała szczerze odczuta chęć dogodzenia woli wszechwładnego wielkorządcy. Odbiegano od niego po to tylko, ażeby z tem większym rozpędem w ostatniej chwili do niego przyskoczyć. Nareszcie złożono ów miecz ognisty na stole sejmowym. Obejrzeli go ci i owi, pokiwali głowami i oświadczyli, że jest nieco za ostry. Ale zabrali się bezpośrednio zainteresowani, na których szyje miał spadać— socyaliści. „Tu zaszła zmiana w widzeniach" sejmu. Mianowicie poseł Singer złożył mu wiarogodne dowody od sędziego szwajcarskiego, przekonywające, że rząd niemiecki utrzymuje w Szwajcaryi szpiegów, będących zarazem agentami prowokacyjnymi, to jest ludzi, krążących między tamtejszymi socyalistami i namawiających ich do wykroczeń i przestępstw. Niejaki Schröder np. — agent policyi pruskiej — przewodniczył na zgromadzeniu anarchistów, gdzie planowano zamachy w Sztutgarcie, Wiedniu i Heilbronie, a nawet odbierał pudło z dynamitem. W jego ślady wstępował inny — Haupt. Znany w całej Europie proces (z przed laty paru) w Berlinie wykazał, że niejaki Ihering, policyant tajny, bywał na zebraniach socyalistów, namawiał ich do zamachów i uczył przygotowywać pociski wybuchowe. Mimo to p. Puttkamer trzyma go dotąd w służbie. Posiada on innego, polaka Naporrę (?), który rozdawał pisma rewolucyjne a teraz stawał w procesie poznańskim jako świadek, oskarżający swoje ofiary.

Minister Puttkamer umie jak kot spadać z dachu, a jednakże wobec dowodów i wywodów Singera stracił równowagę i przeczuł, że go okrywa cień roboty niesumiennej i niepochwalanej nawet przez stronników rządu. Daremnie wypierał się jej, daremnie łżył wykopanych na wierzch kretów, daremnie gromił sędziego szwajcarskiego za zdradę tajemnicy — wszystkie te wody nie zmyły z jego rąk plamy i nie usunęły faktu, że rząd pruski tworzy tych samych socyalistów, dla których domaga się praw prześladowczych. Po tem odkryciu i związanej z niem porażce, obiegła prasę wiadomość, że p. Puttkamer ma ustąpić ze swego stanowiska, czemu wierzyć trudno, gdyż ks. Bismark nie usuwa ministrów skompromitowanych, ale jemu opornych, a jeżeli miał odwagę osadzić na katedrze uniwersyteckiej osławionego d-ra Schwennigera, to będzie miał odwagę podeprzeć uległego Puttkamera. Ale świat już inaczej patrzeć będzie na trudy stróżów „królestwa bojaźni bożej i dobrych obyczajów," nie pozwoli już w siebie wmówić, że ci stróże tylko gaszą rewolucyę społeczną, ale ją także rozdmuchują. Przyznać zaś musi każdy, że trudno wymyśleć robotę potworniejszą nad kuszenie ludzi do pewnych czynów i karanie ich za te same czyny.

Niewątpliwie tkwi dużo przesady w zapewnieniach przywódców ultramontanizmu (środka), że matką wszystkiego złego była tam walka religijna (kulturkampf), że socyalizm rozrósł się po ograniczeniu swobody i osłabieniu wpływów duchowieństwa. Ale nikt nie zaprzeczy, że prąd ten wyssał dużo siły z polityki zagłady i tępienia wszelkich odrębności narodowych i religijnych, która dotąd jest zakonem Niemiec. Z rozmaitych [illegible]del i żył państwa sączy się do wspólnego zbiornika coraz obficiej niezadowolenie. Poseł Kościelski, usprawiedliwiając w sejmie niezgodę polaków na projekt rządowy, powiedział (według *Gaz. pols.*): Jesteśmy zawsze gotowi bronić porządku społecznego za pomocą praw powszechnych, ale odrzucamy wszelkie wyjątkowe. Rząd pruski ostatecznie popiera zasady socyalistyczne, gdyż prześladuje uczucia narodowe. Wydalając spokojnych

obywateli, wprowadza zamieszanie do pojęć prawnych. Łamiąc uroczyste obietnice, podkopuje podstawy monarchiczne.

Jaki los spotka ustawę przeciwko socyalistom, to nas w tej chwili mniej obchodzi; prawdopodobnie wyjdzie ona mocno okrojona i spiłowana. Chcieliśmy tylko zwrócić uwagę na te ziarna, które wyłuskano z polityki pruskiej i których uprawy minister Puttkamer się zaparł. Europa coraz bardziej uświadamia sobie system i plony tej gospodarki, która z Niemiec tworzy ognisko już nie pokojowego socyalizmu, ale wojowniczego anarchizmu. Sam rząd, podstawiając na miejsce praw doraźną wolę swych organów, łamiąc i gwałcąc prawidłowość moralno-społeczną, mnoży zniechęcenie a osłabia zasady etyczne w całem społeczeństwie; z drugiej strony, pragnąc utrzymać nadmierną władzę wobec żywiołów mu nieprzyjaznych, kusi je i uwodzi do wykroczeń, których jest ojcem i mścicielem. Ks. Bismark ufa sobie, że swoją żelazną ręką zdoła zawsze okiełznać potęgi burzy, które wyzywa; że stłumi uczucie, które podsyca— i do pewnego stopnia te Herkulesowe prace wykonywa. Ale on wiecznie nie będzie pokrywą kotła, w którym gromadzą się i rozprężają pary wybuchowe. Rzecz dziwna, ten człowiek bystry i przezorny, ślepnie na możliwości leżące po za kresem jego życia i lekceważy wszystko, co wyrośnie po za jego grobem. Nikt bardziej od niego nie wyraża czynami zasady: po mnie niech nastąpi potop, abym tylko ja przeszedł suchą nogą i podeptał wszystko na drodze.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Rubel robi swoje—spada. Kurs jego obniżył się już do 174 fen. to jest—według ceny nominalnej—prawie do połowy. Chociażbyśmy dla wytłomaczenia tego faktu przyjęli w najszerszym zakresie wpływy spekulacyi giełdowej, nie objaśnią nam one takiej niebywałej zniżki, która musi być wyrazem ogólnej niepewności położenia politycznego i niewiary do jutra. Papugi dziennikarskie po każdym występie ministra, po każdej mowie z wysoka powtarzają frazes o zapewnionym pokoju, który za tydzień lub dwa odwołują. Słyszymy to samo paplanie po mowie Tiszy w sejmie węgierskim. Wogóle do tego rodzaju komedyi nie przywiązujemy wielkiej wagi, gdyż rozumiemy, że one muszą odgrywać się według reguły Talleyranda; z tej galarety wszakże, miękkiej i szarej, na której niczego oprzeć nie można, można czasem wydobyć jakiś kawałek pożywny. Otóż w wywodach Tiszy uderza energiczne odparcie pogłoski, jakoby Austrya zamierzała prowadzić układy z Rosyą na własną rękę i „rozluźnić ligę pokoju.“ Pływała ta kaczka po gazetach przez parę tygodni, robiła widocznie szkodę zagonom austryackim, skoro ją minister węgierski zastrzelił osobnym strzałem. Ale ciekawsze są jego wynurzenia o stosunkach z sąsiadką wschodnią. „Że Rosya — rzekł Tisza—uskutecznia doniosłe rozmieszczenia wojsk i gromadzi swoje armie na zachodniej granicy państwa, to jest rzeczą dostatecznie wiadomą, jak i to, że przeprowadzenie tego oddawna obmyślanego planu zwraca się w kierunku naszej monarchii i w ostatnich czasach postąpiło bardzo znacznie. Rząd austro-węgierski, nie odmawiając zapewnieniom Rosyi, jakoby uzbrojenia jej nie miały charakteru zaczepnego i wojowniczego, o tyle należytej wiary, o ile *przezorność i wzgląd na bezpieczeństwo własne* mu pozwala, czuwa gorliwie nad tem, ażeby, unikając kroków wyzywających, uczynić to wszystko, czego ubezpieczenie granic austro-węgierskich i gotowość wojenna armii wymaga.“ Można się zgodzić, że te puste i giętkie słowa nie wypowiadają niczego; ale zapewnienia pokojowego bez bardzo bujnej imaginacyi doszukać się w nich niepodobna. A tymczasem takie odkrycia zrobiono.

Journ. d. debats doniósł, że podczas obrad w sejmie niemieckim nad interpelacyą polską ujawnił się rozdział w stronnictwie stale dotąd broniącem poznańczyków, w centrum; na czele ich przyjaciół stoi, jak zawsze, Windhorst, odszczepieńcami dowodzi Schorlemer-Alst, który ma być zwolennikiem germanizacyi od czasu, gdy otrzymał wysoki order. Że centrum zarówno w tej, jak w innych sprawach jest rozłupane i trzyma się spójnie taktyką — to każdemu wiadomo; ale żeby Schorlemer-Alst zmienił stanowisko i uległ pobudkom próżności — przypuszczać może ten tylko, kto go nie zna. Jest to bowiem charakter bardzo czysty, rycerski w dobrem znaczeniu tego słowa, odczuwający plamy honoru narodowego, a co Windhorst zrobi z rachuby, to on ze szlachetnego porywu. Takim widzieliśmy go zawsze. Czyżby i ta złota natura rdzewieć zaczęła?

Z wiecu pleszewskiego wybierała się do arcybiskupa Dindera deputacya z żalami; szanowny jednakże „duszpasterz“ odpowiedział, że zrzeka się przyjemności widzenia „najwierniejszych synów,“ tem bardziej, że pewnie, co mieli dać papieżowi, to już dali, a dla skarg w Watykanie, przepełnionym darami, miejsca nie ma.

W Poznaniu osądzono wreszcie długo ciągnący się proces Sławińskiego i towarzyszów, oskarżonych o działania socyalistyczne: karę rozdzielono stopniowo od $2^3/_4$ lat do kilku miesięcy więzienia.

Gazety ruskie stwierdziły, że Nabokow, przywódca partyi bułgarów, którzy przez Burgas chcieli się wedrzeć do kraju i wywołać rozruchy, poległ w walce. Znalezione przy nim papiery książe Ferdynand odesłał Porcie.

Rumuński minister spraw zewnętrznych Sturdza wyruszył w tajemniczą podróż: naprzód odwiedził hr. Kalnokego a następnie ks. Bismarka. Zapewne w interesie utrzymania pokoju.

SPRAWY EKONOMICZNE.

KONKURENCYA AMERYKAŃSKA.

II.

Maks Sering, profesor prawa międzynarodowego w Bonn, z polecenia następcy tronu niemieckiego wysłanym został do Ameryki w roku zeszłym dla zaznajomienia się na miejscu z tamtejszą produkcyą zbożową i zdania po powrocie sprawy swemu rządowi.

Owocem tej podróży Seringa jest świeżo wydana praca p. t. *Die landwirtschaftliche Konkurenz Nordamerikas in Gegenwart und Zukunft*. (Lipsk, 1887).

Spostrzeżenia autora odnoszą się nietylko do Stanów Zjednoczonych, lecz i do Kana-

PRZED GILOTYNĄ

Urywki niewydane z pamiętników

J. TURGENIEWA.

W styczniu 1870 r. obiadowałem u jednego z moich najlepszych przyjaciół, gdy Maksym du Camp zrobił mi propozycyę nieoczekiwaną: zapytał mię, czy chciałbym być obecnym straceniu Troppmana i zaofiarował się z wyjednaniem dopuszczenia mnie do liczby kilku uprzywilejowanych, mających upoważnienie wejścia do więzienia.

Nie zapomniano jeszcze zbrodni, dokonanej przez głośnego mordercę; w owej chwili Paryż cały zajmował się Troppmanem; zainteresowany nim wyłącznie, zapomniał o nominacyi pseudo-parlamentarnego Olliviera i śmierci Wiktora Noira, zabitego ręką księcia Bonapartego, uniewinnionego ku zgorszeniu wszystkich.

W oknach wszystkich sklepów z materyałami piśmiennymi rozpierały się szeregi fotogramów *sławnego mordercy z Pantin*, przedstawiających młodego człowieka o czole wyniosłem, oczach czarnych i wargach grubych.

Od kilku już dni widywano co wieczór *bluzy*, poczerniałe od pracy, zgromadzone na placu Roquette dla przekonania się, czy nie wznoszą już gilotyny, i cofające się, zawiedzione w oczekiwaniu późno po północy.

Zaproszenie Maksyma du Camp zaskoczyło mnie nieprzygotowanym i przyjąłem je bez zastanowienia. Przyrzekłem, że o jedenastej wieczorem stanę przed posągiem Eugeniusza na bulwarze tego imienia. Gdy chwila ta nadeszła, żałowałem, żem obiecał, lecz było już za późno cofnąć się; uczucie fałszywego wstydu powstrzymało mię: a nużby pomyślano, żem się obawiał?

Dla odpokutowania słabości i pragnąc, aby moje spostrzeżenia mogły posłużyć innym, chcę opowiedzieć teraz wszystko, co widziałem; chcę uprzytomnić z mych wspomnień wszystkie przykre wrażenia owej nocy. Być może, iż w ten sposób zaspokoję cokolwiek więcej niż ciekawość czytelnika; być może, iż zdołam wyciągnąć jakąś naukę z mojego opowiadania.

Gdy M. du Camp i ja przybyliśmy przed posąg księcia Eugeniusza, kilku już tam osób nas oczekiwało. Między niemi znajdował się szef policyi tajnej, tak ceniony Claude, któremu towarzysz mój mnie przedstawił. Inni, podobnie jak ja, byli zaproszeni przez protekcyę; po większej części byli to dziennikarze i literaci. M. du Camp oznajmił mi, że spędzimy noc bezsennie w mieszkaniu naczelnika więzienia.

Stracenia zimą odbywają się o siódmej rano, ale należy być na miejscu przed północą; później niepodobna byłoby utorować sobie przejścia przez zbity tłum.

Od posągu księcia Eugeniusza aż do więzienia Roquette jest najwyżej 500 metrów. Nie dostrzegliśmy jeszcze nic zwykłego, bulwary tylko były trochę bardziej ożywione; wszyscy dążyli w jedną stronę, a nawet kobiety biegły spiesznie. Kawiarnie i szynkownie były jeszcze oświetlone, co jest rzeczą niezwykłą na przedmieściach odśrodkowych Paryża o tak późnej godzinie.

Choć bez mgły noc, jednak była bardzo ciemna, wilgotna bez deszczu, zimna bez mrozu — prawdziwa noc styczniowa w Paryżu.

Claude ostrzegł nas, że czas ruszyć w drogę; zabraliśmy się tedy. Zachowywał on zimną krew i swobodę człowieka oddanego swym sprawom, w którym podobne egzekucye nie budzą innych uczuć, oprócz chęci jaknajprędszego spełnienia swej służby. Miał lat około pięćdziesięciu, wzrostu średniego, przysadkowaty, barczysty, o głowie okrągłej, krótko strzyżonych włosach, o rysach twarzy delikatnych, jak miniatura. Czoło, podbródek i kark były jedynie dziwnie szerokie; energia, wola niewzruszona

dy. Produkcyę obu tych krajów uważa on za czynnik, regulujący ceny targów Europy; bo chociaż w ostatnich latach dowóz zboża z Ameryki zmniejszył się znacznie, to jednak na rynkach angielskich, będących najważniejszymi odbiorcami zboża, przywóz z za Oceanu, to jest jego wysokość jest miarodajną wskazówką w notowaniach giełdy produktowej.

Niemcy wprawdzie z Ameryki biorą dużą ilość zboża, ale w cenach stosować się muszą do rynków angielskich, a następnie konkurencya amerykańska coraz mniejsze ma znaczenie dla Niemiec. Tak np. w roku 1881 Stany Zjednoczone dostarczyły im bezpośrednio 31 procent ogólnych dowozów, a pośrednio przez Belgię, Holandyę, Hamburg i Bremę 17 procent; zaś w 1886 przypływ bezpośrednio wyniósł tylko 6 pr., pośrednio 20 procent.

Sering w tem miejscu na chwilę porzuca główne zajmującą go kwestyę, żeby wskazać, kto obecnie zastępuje Amerykę w zaspakajaniu potrzeb spożywcy niemieckiego; naturalnie, ulegając modnemu prądowi, wskazuje Rosyę, jako najniebezpieczniejszego współzawodnika. Na poparcie swych zapatrywań, powiada, że gdy w r. 1881 z Rosyi do Niemiec przybyło 24 proc. ogólnych dowozów zboża, w 1886 cyfra ta podnosi się do 56 proc. Wpływać na to mają coraz tańsze transporty, skutkiem czego pszenica z najdalszych gubernii ruskich, dostawiana aż do Manheimu, wypada taniej, aniżeli amerykańska.

Na to mniemanie autora trudno nam się zgodzić. Sering do porównania bierze lata 1881 i 1886. Otóż należało się cofnąć przynajmniej o dwa lata, a wtedy rzeczywisty obraz dowozów ruskich inaczej by się przedstawił. W r. 1878 ogólny wywóz zboża z Rosyi i Królestwa Polskiego wynosił 88,757,235 hektolitrów, w 1879—83,391,995 hekt., w 1880 zaś i w 1881, przytoczonym przez Seringa, spada nagle do 49,000,000 hektolitrów, a znowu w 1882 podnosi się do 72 mil., w 1883 — do 83 mil. hekt. i odtąd utrzymuje się na równi mniej więcej dawniejszej. Lata 1880 i 1881 nie mogą być brane za normę, bo czas to wielkich nieurodzajów u nas i maksymalnych dowozów Ameryki; jeśli więc dwa te lata, jako wyjątkowe, z rachuby wypuścimy, wywozowy handel zbożem z Rosyi i Królestwa Polskiego od 1876 do 1886 stoi prawie wciąż na tym samym poziomie. Te naciągnięte dowodzenia Seringa są jedyną słabą stroną jego pracy, którą odnośnie do nas nie wynagrodzi nawet ubolewanie nad opłakanem położeniem producentów państwa ruskiego, czego powód autor również widzi w konkurencyi amerykańskiej, powodującej znaczną obniżkę cen.

Z chwilą jednak, gdy Sering nie zaciemnia swych poglądów ubocznemi wycieczkami przeciwko sąsiadom, panuje nad przedmiotem i z całą ścisłością ocenia położenia.

Wnioski, jakie wyciąga co do przyszłości rolnictwa amerykańskiego, bardzo są dla nas pocieszające. Od 1881 r. wywóz tamtejszy stale się obniża i gdy w 1875 Ameryka wysłała 53 mil. buszli, już w 1880 wywóz dochodzi do 153 mil. buszli, ale dosięgłszy tego punktu, spada odtąd stopniowo i w 1886 ogółem wynosi 57 mil. buszli. Jakie mogą być powody tego zmniejszenia? Są one dwojakiej natury: zewnętrzne i wewnętrzne.

W rzędzie pierwszych stawiany bywa przedewszystkiem nagły rozwój wywozu Indyj angielskich, ale Sering mniemania tego nie podziela i twierdzi, że siły wywozowe Indyj przeceniamy; następnie, podnosi wzrost produkcyi ruskiej, nakoniec —i to jest pogląd najsłuszniejszy — mniejsze zapotrzebowania zbóż amerykańskich wywołane zostały szeregiem lat urodzajnych w Europie.

Ale przyczyny natury zewnętrznej nie mogłyby tak znacznie osłabić wywozu Ameryki, gdyby nie tkwiły ważniejsze wewnętrzne przeszkody. Otóż wykazanie tych przyczyn wewnętrznych jest najdonioślejszem spostrzeżeniem autora. Dowodzi on, że w obecnych warunkach *koszta produkcyi zboża w Ameryce już się nie opłacają.* Ceny są niskie, robotnik coraz droższy a chociaż Ameryka posiada dużo jeszcze gruntów dziewiczych, eksploatacya i tych i dawniejszych przestrzeni tylko po podniesieniu się cen może być prowadzona z korzyścią.

Ciekawym bardzo jest kierunek wewnętrznej polityki ekonomicznej państwowej z tego względu, że świadczy o niemocy najrozumniejszych projektów wobec potęgi kapitału, choć z nim walczy nawet taka siła jak demokratyczny i poważny rząd. Myślą prawodawców Stanów Zjednoczonych Ameryki było protegowanie rozwoju drobnej własności ziemskiej za pomocą największych ułatwień; rząd dawał grunta prawie za darmo, zwalniał je na pewien czas od podatków, robił wszystko, by uprzystępnić kredyt małym posiadaczom, a mimo to piękna ta myśl upadła wobec przeciwdziałania kapitału. Może błędna formalistyka przepisów rządowych miała tu wpływ pewien, ale główną przeszkodą w kształtowaniu się średniej i drobnej własności rolnej były potężne spółki kapitalistów-spekulantów, zakupujących ogromne obszary, naturalnie po cenach bajecznie nizkich. Nadto rząd, pragnąc zachęcić towarzystwa prywatne do budowy dróg żelaznych, jako jednego z najdzielniejszych czynników cywilizacyjnych i ekonomicznych naszej epoki, zapewniał im znaczne przywileje pod postacią zapomóg państwowych i nadań znacznych przestrzeni gruntów, przez które kolej przechodziła.

Więc spółki kapitalistów i towarzystwa kolejowe w krótkim czasie znalazły się w posiadaniu ogromnych obszarów, które zagospodarowywano nie według systemów racyonalnych i z nauką zgodnych, lecz na sposób doryweczy, wyczerpujący — jednem słowem — po amerykańsku! Nie była to nawet ekstenzywność, lecz po prostu w najwyższym stopniu rabunek — „raubwirtschaft," które wielkim posiadaczom na razie przynosiło ogromne zyski, ale wkrótce wobec konkurencyi, jaka się na tem polu objawiła, nastąpił spadek cen do tego stopnia, że koszta produkcyi nie zwracały się przedsiębiorcom. Skoro więc ekstenzywność traciła racyę bytu, należało się przerzucić do systemu intenzywnego, ale tu znów zachodzą poważne przeszkody. Przy użyciu największych nawet kapitałów gospodarstwo nakładowe nie przynosi od razu zysków, a dla spekulanta amerykańskiego, któremu gorączka nie pozwala czekać, mało znaczy pewność, że za lat pięć lub dziesięć kapitał zwróci mu się z procentem, kiedy on w ciągu roku zwykł odbierać i procent i kapitał w przedsiębiorstwo włożony. Nie dla takich więc przedsiębiorców istnieje gospodarka nakładowa, a wreszcie wobec istniejących cen i kosztów transportu, które, wciąż obniżając się wprawdzie znacznie, stosunkowo do warunków eksploatacyi dość są jeszcze wysokie — system intenzywny mało przedstawia korzyści.

Posiadają Stany Zjednoczone i Kanada znaczne przestrzenie gruntów dziewiczych, które — jak Sering oblicza — poddane kulturze podwoić mogą zbiór pszenicy; ale grunta te w małej tylko cząstce są własnością państwa, w przeważnej zaś należą do

---

przebijały się w jego głosie suchym i równym, w oczkach bladych i szarych, w palcach krótkich i grubych, nogach mięsistych, we wszystkich ruchach stanowczych, nieprzyspieszonych. Powiadają, że jest bardzo zręcznym w swym zawodzie, postrach złodziejów i zabójców. Zbrodnie polityczne z zakresu jego władzy są wyjęte. Jego towarzysz, pan G..., o którym M. du Camp także mi dużo mówił dobrego, ma maniery bardziej wyrafinowane i wyglądał na człowieka miękkiego i sentymentalnego.

Z wyjątkiem dwu tych panów, a być może i M. du Camp, wszystkim nam było jakoś bardzo słabo: wstydziliśmy się potrosze, żeśmy tam byli i szliśmy jak na polowaniu, bardzo wyprostowani, jeden za drugim.

Im bardziej zbliżaliśmy się do Roquette'y, tem więcej spotykaliśmy ludzi na naszej drodze; jednak nie było jeszcze tego, co można nazwać tłumem. Nie słyszałeś krzyków, ani nawet rozmów hałaśliwych — „widowisko" jeszcze się było nie zaczęło. Wielu łobuzów krążyło po placu, z rękami w kieszeniach, daszkiem na nosie; chodzili oni z tą postawą rozlazłą i niknącą, którą widzieć jedynie można w Paryżu, a która w okamgnieniu zmienia się na bieg najszybszy o skokach małpy.

— Oto on!.. On!.. To on!.. — krzyknęło koło nas kilka głosów.

— Wiesz pan — rzekł do mnie nagle M. du Camp — biorą pana za kata.

— Początek obiecujący — pomyślałem.

Kat paryski—Monsieur de Paris—z którym zaznajomiłem się parę godzin później, ma wzrost ten sam co ja i równie białe włosy.

Wreszcie spostrzegliśmy przestrzeń bardzo długą, nie bardzo szeroką, zamkniętą z obu stron dwoma budynkami podobnymi do koszar, zczerniałymi, o architekturze pospolitej. Jeden z nich był domem młodych więźniów, drugi, na prawo, więzieniem skazanych — la Roquette.

Plac ten przecinały przez środek cztery szeregi żołnierzy, po za którymi o kroków dwadzieścia rozstawione były cztery inne. Zazwyczaj wojska nie wzywano do egzekucyi; tym jednak razem rząd, ze względu na stan umysłów, podnieconych zabójstwem Wiktora Noira, sądził, iż policya nie podoła utrzymaniu w porządku tłumów i przedsięwziął środki nadzwyczajne.

Główne wrota więzienia Roquette wychodziły wprost na środek placu, zamkniętego przez żołnierzy. Kilku sierżantów wolnym krokiem przechadzało się przed wrotami; młody oficer, dość słusznego wzrostu, noszący kepi bogato haftowane, rzucił się na nas z rozpędem, który mi przypomniał policyę mojej ojczyzny; uspokoił się wkrótce, poznawszy swoich.

Wrota więzienne zaledwie się uchyliły i wprowadzono nas z wielkiemi ostrożnościami do kordegardy. Rewizya szczegółowa odbyła się wraz z długiem badaniem. Po załatwieniu tej formalności, kazano nam naprzód przejść wielkie podwórze wewnętrzne, następnie małe; znaleźliśmy się przed mieszkaniem naczelnika więzienia.

Urzędnik ten oczekiwał nas. Był to człowiek silny, wysokiego wzrostu, o siwych wąsach, podobnych do cesarskich. Twarz miał typową — oficera piechoty: nos orli, oczy nieruchome dzikiego zwierza, czaszkę drobną niesłychanie. Przyjął nas z uprzejmością i dobrodusznością; lecz bezwiednie, każdy z jego ruchów, każde jego słowo zdradzały w tym tęgim chłopie ślepe narzędzie swego pana, któryby się nie cofnęło przed wykonaniem jego najdzikszego rozkazu. Zresztą, dał on już był dowody swego poświęcenia w nocy 2 grudnia: on to ze swym batalionem osaczył drukarnię *Moniteur'a*.

Jak prawdziwy *gentleman* odstąpił nam swe mieszkanie, położone na drugiem piętrze gmachu głównego i składające się z dwu komnat, dość dobrze umeblowanych. Piękny ogień płonął w kominkach. Mała charcica, która miała urwaną łapę, wlokła się, kulejąc, z dywana na dywan, poruszając wciąż ogonem. Oczy jej miały wyraz smutny, jak gdyby ona także czuła się uwięzioną.

Było nas ośmiu zaproszonych. Poznałem kilka twarzy z fotogramów: Sardou, Albert Wolff i in., lecz nie czułem żadnej chęci

spółek spekulacyjnych i towarzystw kolejowych. Ci zaś posiadacze skłonni są do sprzedaży, ale naturalnie z grubym dla siebie zyskiem, co zniechęca możliwych nabywców.

W kłopotliwem zatem położeniu znajduje się obecnie rolnictwo amerykańskie i dlatego groza tamtejszej konkurencyi staje się o wiele mniej dla nas straszną. Sering, jako umysł trzeźwy, nie posuwa się jednak w swych wnioskach tak daleko, by uspokoiwszy obawy rolnika europejskiego, raz na zawsze widmo współzawodnika amerykańskiego przed nim usunąć. Owszem, z ostrożnością przypuszcza, że wobec ciągłych udoskonaleń techniki zajść mogą okoliczności znów na pierwszy plan wysuwające produkcyę Ameryki. Tak np. ukończenie kanału panamskiego skróci o 10,000 kilometrów drogę na rynki europejskie i ułatwi kulturę gruntów do tej pory odłogiem leżących; łatwo zatem pojąć, że w przyszłości mogą się wytworzyć okoliczności znów nieprzyjazne dla produkcyi europejskiej. Ale jak na teraz tylko nadzwyczajne jakieś wpływy zdołają Ameryce zapewnić powrót do tych świetnych czasów, w których dostarczała staremu światu $^{7}/_{10}$ zboża w handlu przywozowym.

Pouczająca i pocieszająca praca Seringa zawiera jeszcze kilka uwag, niezwiązanych bezpośrednio z interesującym nas przedmiotem, lecz dotyczących tyle ważnej „kwestyi zbożowej.“ Gdy autor dzieło swe pisał, cła niemieckie były dopiero projektem. Z całą siłą przekonań powstaje on przeciwko temu zamysłowi, uważając go za miecz obosieczny, który się z czasem na jego ojczyznę zwróci. Utrzymuje, że ochrona rolnictwa krajowego jest rzeczą konieczną, że nadmierne i tanie dowozy zboża mogą kraj zrujnować, lecz przed tem następstwem radzi zasłonić się pewnego rodzaju „skałą ruchomą“ i przyczyn przesilenia nie szukać tylko w konkurencyi zbożowej, lecz uważać je za następstwo całego szeregu faktów, które w ekonomicznem życiu Europy nie od dziś wywołują nędzę i upadek.

Gozdawa.

BADANIA NAUKOWE.

UPÓR
JAKO OBJAW BEZWŁADNOŚCI UMYSŁU

I.

Czy można bez wyraźnego pogwałcenia logiki mówić o umyśle, że jest bezwładnym? Czy przyznawać mu własność, która jest natury czysto materyalnej, nie jest to dopuszczać się błędu, zwanego w logice *contradictio in adjecto?*

Wątpliwości tej, która na pierwszy rzut oka może się wydać komu kwestyą słów, pominąć nie wolno. Pamiętajmy bowiem, że taka powaga naukowa, jak Bain, który jest jednym z głównych przedstawicieli psychologii doświadczalnej, w dziele swem: *Umysł i ciało*, powiada wyraźnie: „Bezwładność nie może być przypisana przyjemności, przykrości, wyobrażeniu, o ile je poznajemy zmysłem wewnętrznym; przynależy ona tylko fizycznej podstawie myślenia, materyalnym czynnościom woli i objawom uczucia. Z bezwładnością łączy się ciężkość, będąca szczególniej własnością materyalną.“ (Str. 126).

Jak widzimy, Bain stanowczo jest przeciwny przyznawaniu umysłowi bezwładności. Cała waga jego zarzutu leży w tem, że uznaje on pojęcie bezwładności za współrzędne pojęciu ciężkości, że zatem, kto mówi o umyśle bezwładnym, przez to samo już twierdzi o nim, że jest ciężkim, co przedstawia niedorzeczność widoczną.

Zastanówmy się, o ile ów zarzut jest słusznym i czy rzeczywiście bezwładność łączy się z ciężkością?

Znane z mechaniki pierwsze prawo ruchu odnosi się właśnie do bezwładności i tak je określa: „Każde ciało dąży do zachowania swego stanu spoczynku lub ruchu jednostajnego po linii prostej, dopóki na nie siła nie wywrze działania.“ Co to znaczy? Oto, że żadne ciało samo przez się nie może wyjść ze stanu spoczynku, ani też zmienić swego ruchu tak względem kierunku, jak i jego ilości; że ciało, zostające w spoczynku, pozostawałoby w niem do nieskończoności, gdyby zewnętrzna siła nie wprawiła je w ruch; że ciało, odbywające ruch, poruszałoby się jednostajnie po prostej linii aż do nieskończoności, gdyby nie podziałała na nie siła zewnętrzna, nadająca mu przyspieszenie albo odmienny kierunek. Że zrozumiana w ten sposób bezwładność nie ma nic wspólnego z ciężkością i jest od niej całkiem niezależną, zgodzi się na to każdy. Nie oznacza ona nic innego, jak brak samorzutności; ma ona przeto znaczenie czysto ujemne i może być tak dobrze użytą dla określenia ciał, które są ciężkie, jak i sił, które, będąc objawem ruchu, ciężkiemi nie są.

Wprawdzie z bezwładnością łączy się pojęcie oporu, ale i opór nie ma nic wspólnego z ciężkością. Miarą oporu nie jest ciężkość, lecz siła, jakiej potrzeba użyć do wyprowadzenia ciała ze stanu spoczynku lub ruchu. Siła ta w pierwszym wypadku, gdy ciało zostaje w spoczynku, jest proporcyonalną do masy jego, t. j. do ilości zawartych w niem atomów; w drugim, gdy ciało porusza się — do ilości ruchu czyli do iloczynu masy przez prędkość.

Uwaga więc Baina, że umysłowi niepodobna przypisywać bezwładności, gdyż ta łączy się z ciężkością, wydaje mi się zgoła niesłuszną. Jakoż bezwładność umysłu nic innego nie oznacza, jak to, że sam on przez się, mocą wewnętrznej samorzutności, niezdolnym jest wyjść ze stanu, w jakim się znajduje, że każda zmiana świadomości ma swą przyczynę, bądź we wrażeniach zmysłowych, bądź w pobudzeniach wewnętrznych fizyologicznej natury. Znaczy ona tu to samo, co determinizm, który od chwili, kiedy psychologia zaczęła posługiwać się metodą doświadczalną, musi być uznanym za zasadnicze prawo wszystkich zjawisk umysłowych. Podobnież pojęcie uporu, zastosowane do myśli, uczuć i woli, znaczy to jedno, że wszystkie te stany świadomości mają zawsze pewne natężenie odpowiednio temu natężeniu oddziaływają na wszelkie przeciwne sobie wpływy, tak, że im większe jest natężenie pojęć, uczuć i pragnień, tem też większej potrzeba użyć siły na ich pokonanie, na usunięcie z pola świadomości.

W przytoczonym powyżej ustępie Bain przyznaje, że prawu bezwładności podlegają „fizyczne podstawy myślenia, materyalne czynności woli i objawy uczucia“ ale przeczy, żeby mu podlegały także przyjemność, przykrość, wyobrażenie, o ile ich zmysłem wewnętrznym doznajemy.“ Otóż zdaje mi się, że i pod tym względem Bain nie ma słuszności. Niezawodnie, że na danych ob-

---

przemówienia do nich. Usiedliśmy w salonie. M. du Camp zbliżył się do Claude'a.

Łatwo się domyślić, Troppman był wyłącznym przedmiotem rozmowy, środkiem wszystkich naszych myśli. Naczelnik więzienia doniósł nam, że skazany usnął o dziewiątej wieczorem i że dotąd śpi jeszcze spokojnie „snem sprawiedliwego“; że zdawał się przeczuwać odrzucenie swej prośby o łaskę; że błagał go o powiedzenie mu prawdy w tym względzie i nie przestawał twierdzić, że miał wspólników, których nie chce wymienić. Naczelnik dodał, że niewątpliwie w chwili stanowczej Troppman skruszy się, lecz dotąd jadł z dobrym apetytem. Książek nie żądał.

Niektórzy z nas zapytywali siebie: czy można dawać wiarę twierdzeniom tego przestępcy, który się był okazał kłamcą zawołanym? Opowiedziano znowu zbrodnię z wszelkimi jej szczegółami; zadano sobie pytanie, co frenologowie mówili o czaszce Troppmana; dotknięto kwestyi kary śmierci... ale rozmowa szła słabo, dysputowano chłodno, bez przekonania, z częstem uciekaniem się do komunałów i pod najmniejszym pretekstem przerywano ją, nie starając się związać wątku na nowo... Niepodobna było mówić o niczem, jak tylko o mającym zajść tej nocy wypadku — przez mimowolne poszanowanie dla śmierci i dla tej istoty ludzkiej, która uledz jej miała. Nieokreślone uczucie niepokoju ciążyło na nas; nie nudziliśmy się, lecz ta niemoc nie do określenia, ten niepokój przerażający, były stokroć przykrzejszemi, niż nuda... Zdawało się, że ta noc nie miała się nigdy skończyć.

Co do mnie, czułem tylko jedno: że nie miałem prawa znajdować się w miejscu, w którem byłem o tej godzinie; że obecność moja tutaj nie mogła być usprawiedliwioną przez żadne pobudki psychologiczne, ani moralne.

Claude wrócił do nas po krótkiem oddaleniu i jął nam tłomaczyć, w jaki sposób głośny Jud wyśliznął mu się z rąk, lecz że nie traci nadziei złowienia go, jeśli żyje jeszcze.

Nagle usłyszano ciężki turkot kół, a w kilka minut później doniesiono nam, że gilotyna tylko co przybyła.

Wybiegliśmy wnet na ulicę, jak gdyby nam pilno było ją zobaczyć.

Przed wrotami więziennemi znajdował się furgon ciężki i zamknięty, zaprzężony w trzy konie; inny, mały i nizki, o dwu kołach, mający kształt długiej skrzyni, stał cokolwiek za pierwszym. Jakeśmy się następnie dowiedzieli, był on przeznaczony do zabrania trupa niezwłocznie po straceniu i przewiezienia go na cmentarz.

Kilku robotników w krótkich bluzach otaczało wóz; mężczyzna wysokiego wzrostu, w okrągłym kapeluszu, w białym krawacie, z lekkim paltotem zarzuconym na ramiona, dawał półgłosem rozkazy.

Był to kat. Wszystkie władze, Claude, naczelnik więzienia, oficer w kepi haftowanem, wymieniali z nim grzeczności.

— Ah! pan *Indric*, dobry wieczór, panie *Indric* (prawdziwe jego nazwisko było Heidenreich; był on alzatczykiem).

Myśmy także zbliżyli się do niego i w danej chwili stał się on przedmiotem powszechnej uwagi.

Sposób, w jaki się do niego zwracano, mówił jasno: „nie brzydzimy się pana, bo jesteś osobistością ważną.“ Niektórzy dla *większego szyku* niezawodnie, ściskali mu rękę. Prawda, że ręce miał szczególnej białości i piękności.

P. Indric w ruchach swobodny, słodki i grzeczny, lecz nie bez pewnej ciężkości patryarchalnej. Można było widzieć, że pojmował, iż tej nocy był po Troppmanie osobistością najbardziej nas interesującą, pierwszym ministrem Troppmana.

Robotnicy otworzyli furgon, wyjęli rozmaite sztuki, składające gilotynę i poczęli je zestawiać na kroków piętnaście od wrót więziennych. Zauważono wtedy dwie latarnie, poruszające się to naprzód, to w tył ponad ziemią, oświetlające jasnymi krążkami rznięte brukowce.

Spojrzałem na zegarek... była zaledwie dwunasta i pół. Powietrze stało się jeszcze ciemniejsze i zimniejsze. Było już sporo lu-

serwacyi wewnętrznej trudno, a często nawet niepodobna stwierdzić prawa, które w czynnościach umysłowych wykrywa obserwacya zewnętrzna. Z tem wszystkiem prawo bezwładności w niektórych wypadkach daje się stwierdzić dokładnie i przez obserwacyę wewnętrzną. Do takich należy przedewszystkiem fakt, przez samegoż Baina podany.

W pierwszym tomie swej *Logiki* powiada on: „Pierwotna dążność umysłu skłania go do mniemania, że wszystko, co istnieje, dalej istnieć będzie, że to, co jest w tem miejscu i w tym czasie, będzie istniało wszędzie i zawsze. Tę wrodzoną pohopność do wiary wątli i hamuje doświadczenie. Wierzymy np., że, jak czujemy teraz, tak samo czuć będziemy zawsze; że wszyscy ludzie doznają tych samych, co i my uczuć; że to, co nas spotyka, spotyka wszystkich; że wszystko, co nam ktoś mówi, jest prawdą. Party jakąś *naturalną skłonnością* umysł przyjmuje za dobrą monetę wszystkie te przypuszczenia. Doświadczenie zaś nietylko ich nie rodzi w nas, ale przeciwnie osłabia je i umiarkowywa“ (str. 14).

Zdaje mi się, że zbytecznem byłoby dowodzić, iż ta wrodzona i ślepa pohopność umysłu do przypisywania doświadczeniu szczegółowemu, pojedyńczemu, znaczenia powszechnego, nie jest niczem innem, jak bezwładnością umysłu, dążnością jego do trwania w swym stanie, pokąd nowe doświadczenie nie wyprowadzi go z niego. Otóż tę pohopność umysłu stwierdza tak dobrze obserwacya wewnętrzna, jak i zewnętrzna, a nawet powiedziałbym, że jest ona głównie faktem wewnętrznej obserwacyi, świadczącym, iż „bezwładność musi być przypisana przyjemności, przykrości, wyobrażeniu, o ile ich zmysłem wewnętrznym doznajemy.“

Stwierdzają to dowodniej jeszcze uczucia i żądze, posiadające z natury swej rozpęd ślepy i niepohamowany, które tylko późniejsze doświadczenie i wyrobiona przez nie wola w części miarkuje i powściąga. Każdy z nas z wewnętrznej obserwacyi nad sobą wie dokładnie, że umysł opanowany przez jakieś uczucie gwałtowne, pragnienie natarczywe, traci wszelką władzę nad sobą, staje się bezwładnym, czuje się popchniętym fatalnie w kierunku, w którym sam, mocą wewnętrznej samorzutności, powstrzymaćby się nie zdołał, gdyby nie przeszłe doświadczenie, nie suma ustalonych w nim zasad i uczuć, które w danym razie budzą się w nas i hamują zapęd namiętności, pokąd jej energia nie zużyje się. To też im umysł uboższym jest w doświadczenie, tem ściślej podlega prawu bezwładności; samorzutność bowiem umysłu, będąc nabytkiem indywidualnym, powstaje w nas w miarę wzrastania doświadczenia, jako wola, która w gruncie rzeczy nie jest czem innem, tylko swego rodzaju mechanizmem, wytworzonym pod kierunkiem świadomości i używanym przez nią w celu powściągania i tamowania automatycznych czynności umysłu. Że sam mechanizm woli tylko dzięki pierwotnej bezwładności umysłu w nas się ustala, łatwo zrozumie to każdy, kto zważy, że wola polega na przeciwstawieniu świadomem jednych uczuć drugim, na powstrzymywaniu wrodzonych skłonności zapomocą zasad i dążności, jakie w nas zaszczepiło wychowanie i własna nad sobą praca — czyli doświadczenie.

Umysł dziecięcy, ubogi w doświadczenie, ulega ślepo swym uczuciom i chęciom, które wypełniają go całkowicie, nie znajdując w nim nic, coby zdolnem było je przeciwważyć, naturalny ich pęd zahamować i powstrzymać. To też trwają one w nim dotąd, aż się nie wyczerpią same, chyba że nowe jakieś wrażenie nada jego energii odmienny kierunek, budząc w nim nowe chęci i nowe uczucia.

Podobnież dzieje się z ludźmi niewykształconymi, pozbawionymi tego zasobu doświadczenia, jakiego dostarcza oświata. Uczucia ich i popędy, nie znajdując wewnętrznego hamulca w utrwalonych od dzieciństwa zasadach, zdolnych je zrównoważyć, objawiają się z gwałtownością i uporczywością, które tylko bezwładność umysłowa zdoła wytłomaczyć.

Że bezwładność ta przystępną jest dla obserwacyi wewnętrznej, dowodzi tego w sposób oczywisty stan, w jakim człowiek czuje się pod wpływem uprzedzeń, przesądów, nawyknień i nałogów w chwili, gdy przychodzi do uznania ich błędności i szkodliwości. Czuje się on, jak gdyby opętanym przez obcą sobie potęgę, wobec której jest bezwładnym, niezdolnym nietylko do zapanowania nad nią, ale nierzadko i do walki z nią. Wszelkie wysilenia rozumu, postanowienia woli rozbijają się o wkorzenione przesądy i nałogi, które tkwią w naszej duszy, niby pnie niewykarczowanego lasu, utrudniając posiew cywilizacyi. A nietylko dzieje się tak z nawyknieniami umysłu szkodliwemi! Cały system skojarzeń między naszemi pojęciami, uczuciami i dążnościami, wszystkie nasze przekonania, nad których wyrobieniem i ustaleniem sami pracowaliśmy z całą świadomością, czyliż nie tworzą dla nas wewnętrznego przymusu, wobec którego uznajemy się bezwładni, niezdolni zaprzeć się ich we własnem sumieniu, chociażbyśmy w danych okolicznościach życia odstąpili od nich dla widoków praktycznych?!.. Żądać od człowieka szlachetnego, by się zgodził na czyn nieuczciwy, jest to samo, co wymagać, ażeby łotr od urodzenia mocą wewnętrznej samorzutności stał się porządnym i pracowitym. Jak dla jednego, tak i dla drugiego żądania podobne byłyby niepodobieństwem, gdyż ich umysły, odmiennie otrzymawszy kierunki od natury i wychowania, mocą prawa bezwładności muszą w nich trwać dopóty, dopóki jakieś równej siły doświadczenie nie podziała na nich, nie wywoła gwałtownego wstrząśnienia i nie zmieni całej ich natury.

Niezawodnie, że dla wewnętrznej obserwacyi bezwładność umysłowa nie zawsze przedstawia się jasno i dokładnie. W wielu wypadkach, jak np. w objawach woli, bywa ona tak dalece zamaskowaną, że tylko ścisła analiza psychologiczna zdoła ją wykryć i to posługując się obserwacyą zewnętrzną, faktami, jakich jej dostarcza naukowe doświadczenie. Dziwić się temu nie można. Do świadomości dochodzą tylko ostateczne rezultaty procesu wewnętrznego, który dokonywa się po za jej granicami i o którym ona tylko pośrednio może wiedzieć. Rezultaty te przybierają w świadomości samodzielnych jej aktów, gdyż w niej i przez nią dopiero nabierają one znaczenia czynników umysłowych, stanowiących istotę życia wewnętrznego. Niemniej przecież w wielu innych wypadkach, jak w tych, które przytoczyłem wyżej, bezwładność umysłowa bywa tak widoczną dla obserwacyi wewnętrznej, że każdy ją musi uznać, kto umie zastanawiać się nad sobą i zdawać sprawę ze stanów swego umysłu.

Najcharakterystyczniejszym objawem bezwładności umysłowej — objawem, znanym nam głównie za pośrednictwem zmysłu wewnętrznego, jest upór.

(D. n.).

W. Kozłowski.

---

dzi i po za szeregami żołnierzy, otaczających plac przed więzieniem, podnosił się długi, niedający się określić szmer głosów ludzkich.

Zbliżyłem się do żołnierzy: stali nieruchomi, cokolwiek ściśnięci i trochę naruszyli symetryę szeregów. Twarze ich wyrażały tylko znudzenie zimne i zrezygnowane, pełne cierpliwości; wszystkie postacie, które dostrzegłem między *shako*, uniformami żołnierzy, trójgraniastymi kapeluszami żandarmów i surdutami sierżantów, wszystkie te głowy robotników w bluzach, nosiły na sobie ten sam wyraz nudów z pewnym uśmiechem oczekiwania.

Dalej, dalej, tłum poruszał się zwartą masą; tłoczono się, szturgano, od czasu do czasu krzyk wyraźny wyrywał się z pośród niego:

— Ohe! Troppmann, ohe! Lambert! Nie trzeba było tam chodzić!

Następowały potem gwizdania, pchano się, spierano o miejsca.

Zwrotka piosenki cynicznej biegła z ust do ust; nagle rozlegał się śmiech przeraźliwy, który wywoływał całą wrzawę, a następnie hałas nieokreślony, jak gdyby tysiące gęsi trzepotało skrzydłami o kałużę.

„Prawdziwa sprawa“ jeszcze się nie zaczęła: nie słyszano krzyków antidynastycznych, których się wszyscy spodziewali, ani burzliwego brzmienia „Marsylianki.“

Zbliżyłem się do gilotyny, która się wznosiła zwolna. Pewien mężczyzna o twarzy przyjemnej, o włosach fryzowanych, w kapeluszu miękim szarej barwy, adwokat, jeśli się nie mylę, stał w pobliżu i rozprawiał z gwałtownością, wywijając z ruchem monotonnym rękę prawą, a w niej osobno wskazujący palec i pochylając się miarowo z góry na dół; uginał przy każdem poruszeniu kolana, jak gdyby upadał pod ciężarem swego przekonania. Chciał on dowieść dwu panom, stojącym przy nim, że Troppmann nie był mordercą, lecz maniakiem.

— Maniak! Dowiodę tego panom! Śledźcie za mem rozumowaniem — wołał; pobudką nie było morderstwo, lecz pycha, którą chętnie nazwę bezgraniczną. Słuchajcie mojego rozumowania...

Panowie w paltotach słuchali go; lecz o ile wnosić mogłem z ich twarzy, nie byli przekonani. A robotnik, pracujący przy gilotynie, mierzył go wzrokiem od stóp do głowy z nietajoną pogardą.

Wszedłem nanowo do mieszkania naczelnika.

Wielu z naszych „przyjaciół“ już się tu było znowu zebrało. Nasz uprzejmy gospodarz kazał podać wino grzane.

Troppmann wciąż jeszcze stanowił jedyny przedmiot rozmowy, zapytywano się, co powinien był odczuwać o tej godzinie, jeśli hałas uliczny dochodzi do jego celi po przez mury, czy sen jego trwał nieprzerwanie.

Naczelnik wskazał nam cały stos listów adresowanych do Troppmanna, a których skazany nie chciał czytać, jak nas upewniał gospodarz. Listy te po większej części zapełniały żarty trywialne lub mistyfikacye, niewielka ich ilość zawierała przedstawienia poważne i błagania, aby przyznał się do zbrodni i skruszył; pewien pastor metodystów przesłał mu całą rozprawę teologiczną o dwudziestu stronicach. Były między nimi i bilety pisane ręką kobiecą i bukiety z nieśmiertelników.

Naczelnik opowiedział nam jeszcze, że aptekarz więzienny złożył władzom list, który Troppmann zdołał mu przesłać z prośbą o truciznę. Pomimo uprzejmości naszego gospodarza, przekonałem się, że wcale nie pojmował, „po kiego dyabła interesowaliśmy się bydlęciem tak złem i obrzydłem,“ jak Troppmann. W oczach jego byliśmy tylko ciekawymi światowcami, *gommeux*, poszukującymi wrażeń.

Po chwilowej gawędce rozeszliśmy się na nowo. Całą noc spędziliśmy na błądzeniu jak dusze pokutujące, na wchodzeniu do naczelnika więzienia, na siadaniu przy nim w salonie, wypytywaniu o nowości co do Troppmanna, na wychodzeniu dla wyjrzenia na ulicę i powracaniu po upływie kilku minut dla podjęcia rozmowy o skazanym. Trwało to do rana. Niektórzy z pomiędzy nas zaczęli opowiadać anegdoty „pikantne“ lub komunikowali sobie wiadomości osobi-

LITERATURA I SZTUKA.

PRERAFAELIŚCI.

W jubileuszowym roku królowej Wiktoryi urządzono w Manchesterze wystawę sztuki, na której obrazy prerafaelistów znalazły się w pełnym komplecie.

Prerafaelizm ma już swoją historyę. Pojawił się w Anglii po r. 1850, jako kierunek rewolucyjny, nowatorski i niemałą wrzawę wywołał. Rzecznikiem tego zwrotu był zdolny krytyk, John Ruskin. Reformatorzy ci głosili, że malarstwo od czasu Rafaela wpadło w wymuskany konwencyonalizm, odbiegało od prawdy, szczerości i prostoty. Nawoływali oni do cofnięcia się po wzory aż w wiek XV, w czasy nietknięte jeszcze obcym i powierzchownym wpływem Odrodzenia. Drogą tą, pomimo krzyków i szyderstw, poszła cała szkoła, wysoce oryginalna, pełna trwałej wiary w swe zasady i swe posłannictwo. Dziwni ci barbarzyńcy, którzy zawracając do wieków średnich, odrzucali cały wykwintny pokost Odrodzenia, łączyli w sobie dwie właściwości, które nie zawsze schodzą się z sobą: z jednej strony byli realistami, z drugiej—żądali od utworów sztuki idei i tendencyi. Obie te cechy zdawali się odkrywać w religijnem malarstwie z przed wieku XVI. Nie chodziło im o wznowienie tego malarstwa, dopatrywali w niem jednak bliską rzeczywistości szczerość i prostotę, obok wiary i dążności moralnych — nie dostrzegali zaś tego wszystkiego w wygładzonej sztuce Odrodzenia, która jednak powagą rzeczy uznanej zaciężyła nad całym późniejszym rozwojem malarstwa. Prerafaelizm, spokrewniony następnie z angielskim również „estetycyzmem,“ nie przekroczył prawie granic Wielkiej Brytanii i wywarł wpływ nieznaczny na ląd stały Europy. Paru przedstawicieli pojawiło się już w r. 1885 na wystawie w Paryżu, zostali jednak przez urzędowych krytyków wyśmiani i odsądzeni od wszelkiej wartości. Jeden tylko Teofil Gauthier miał odwagę podnieść niepospolite zalety nowatorów i przepowiedział nawet, że w Anglii stworzą szkołę, co też i stało się. Francuski realizm w malarstwie, późniejszego nieco pochodzenia, wywodzący się od Courbeta, poszedł inną drogą. Starał się on chwytać wprost nagą rzeczywistość na gorącym uczynku, bez troszczenia się o mistrzów i tendencye. Mimo to realizm francuski, szkoła „pełnego powietrza,“ impresyonizm — ma niektóre cechy wspólne z prerafaelistami.

Przyjrzyjmy się jednak nieco bliżej historyi powstania i rozwoju szkoły, oraz jej malarskiemu obliczu. Pojdziemy tu śladem jednego z najlepszych krytyków sztuki we Francyi, Andrzeja Michela, który poświęcił świeżo prerafaelistom, z okazyi rzeczonej wystawy, wyborne studyum *).

Szkoła powstała w warunkach ogólnych, sprzyjających jej skiełkowaniu. Przed nią już w literaturze dokonała się reakcya przeciwko klasycyzmowi, zwrot ku średniowiecznym balladom i pisarzom tej epoki. Prerafaeliści bili czołem przed van Eyckiem i malarzami włoskimi, jak Wodsworth, Shelley i Keats przed starymi autorami, pogardzanymi przez klasycyzm. Poglądy i uczucia, które odnowiły literaturę, przenikały wśród artystów pędzla.

Pojedynczy malarze zachowali w szkole swej wyraz odrębny, osobisty, wszyscy jednak dążyli do oświetlenia palety, przez nakładanie barw żywych i jaskrawych, dbali nader pilnie o drobiazgowe wykończenie w szczegółach, troszczyli się przytem nieposlednio o etyczną tendencyę swych utworów. Wspólną także cechą grupy jest pewna egzaltacya mistyczna i cierpiąca, pewien szczególnie melancholijny i silny rodzaj marzenia i wyrażania swych pragnień. Odznacza ich przytem głęboka szczerość i coś takiego, co świadczy, że dzieła ich sztuki wysłuchały zwierzeń przepełnionego serca i zdradzają niewygasłe tajniki życia.

Było siedmiu w tem gronie, które miało tak silnie się zaznaczyć w historyi sztuki swego kraju. Oto imiona: William Holman Hunt, Dante Gabriel Rosetti, John Everet Millais, James Collinson, Fryderyk Jerzy Stephens, Tomasz Woolner, William Michał Rosetti — wszystko malarze, poeci, krytycy, jeden rzeźbiarz. Przyłączyli się do nich następnie: William Boll Scott, Artiur Hughes, Ford Madox Brown. Różnili się pochodzeniem, wykształceniem, temperamentem i wychowaniem — wszyscy jednak byli przepełnieni nienasyconem pragnieniem czegoś podnioślejszego, co było niejako chorobą wieku. Rosetti, wyrafinowany, subtelny, namiętny, był synem neapolitańskiego wygnańca, komentatora Dantego, rewolucyonisty, katolika i zwolennika Platona. Hunt, surowy i entuzyazmujący się na sposób purytanów, wyszedł z drobnego, niezamożnego mieszczaństwa, czytał wiele i badał, zachwiany wreszcie przez Woltera i Shelleya w swych religijnych wierzeniach anglikańskich, wysiłkiem woli utrzymał się przy swej wierze. Millais był najzamożniejszym z „trzech“ braci, zawsze jednak wylany dla swych druhów i gotów wszystkiem się z nimi podzielić.

Gorącym tym umysłom mdły nowo-klasycyzm i teorye estetyków, broniących „wielkiej sztuki“ Rafaelowskiej, nie mogły przemawiać do przekonania. Wokoło siebie nie mieli mistrzów. Turner, którego Ruskin robił Janem Chrzcicielem nowego kierunku, kładł się już do mogiły, Dyce starzał się również. Szukali tedy wzorów gdzieindziej. I znaleźli je szczęśliwie na pewnej nocnej pogadance u Millais, w albumie fresków Campo-Santo de Pize. Album to było dla trzech przyjaciół objawieniem. Znalezioną została tajemnica „wyswobodzenia się“ z pod władzy konwencyonalizmu, rutyny i przygniatającej tradycyi. Malarstwo wygładzone i oszlifowane, na wzór poezyi klasycznej osiemnastego wieku, ustąpiło miejsca wiernemu odtwarzaniu rzeczywistości, prawdzie, szczerości i prostocie. Szkoła prerafaelistów angielskich ma jeszcze tę zaletę, że, odświeżając się u ożywczego źródła prawdy, nie zapomniała o tem, że dzieło sztuki nie powinno być jedynie mniej lub więcej trafnem odbiciem rzeczywistości, nietylko estetycznem cackiem, lecz nosić na sobie piętno ludzkiego ducha i niezatarty chryzmat idei.

E. P.

*) *La Peinture anglaise à la royal jubilee exhibition.* „Journal des Debats,“ 17 janv. 1888.

LITERATURA POLSKA.

J. I. Kraszewski, *Król w Nieświeżu* — 1784. Obrazek z przeszłości. Warszawa, 1887.

Opowiadanie to, już do spuścizny po znakomitym pisarzu należące, stanowi raczej studyum historyczne, niż wykończoną powieść. Wątek, nie tyle ciekawy, ile znamienny, jest jakby zestawieniem dwóch odrębnych cywilizacyj, sąsiadujących z sobą w jednym narodzie. Salonowe, na sposób francuzki urobione zwyczaje i obejście się

---

ste, inni mówili trochę o polityce, teatrze, lub wspominali imię Wiktora Noira. Kilku starało się żartować, dowcipkować, ale jakoś to nie szło... Usiłowania te wywoływały śmiech wymuszony, który dźwięczał fałszywą nutą i niezwłocznie się uciszał.

Wykryłem małą sofkę w pierwszej komnacie i wyciągnąłem się na niej, pragnąc się przespać; lecz nie usnąłem, nie mogłem nawet zdrzemnąć się na parę minut.

Około trzeciej nad ranem Claude usiadł i zasnął. W chwilę potem jeden z podwładnych wywołał go. Podniósł się niezwłocznie i znikł.

Na zewnątrz szmer tłumów stawał się coraz mocniejszym, gęstszym, ciąglejszym; na placu znajdowało się przeszło 25,000 osób. Ten szmer mię uderzył; zdawało mi się, że słyszę jęk morza, gdy fale jego rozbijają się o brzeg, to *crescendo* bez końca bałwanów, tak wiernie oddane przez Wagnera w jego muzyce. Nie był to hałas zawsze jednakowy; wybuchał wielki łoskot, konwulsye, śród których zrywały się ostre tony głosów kobiecych i dziecinnych i zamilkały jak fale, gdy się rozpryskują na deszcz drobny. Czuliśmy się jak gdyby w obecności form brutalnych żywiołu. Raz się uciszał i zdawał się skupiać, to znowu rósł, podnosił się, wzlatywał z podwojonem szaleństwem, jak gdyby chciał wszystko pochłonąć, później uciszał się stopniowo, nie męcząc się bynajmniej, ciągle, ciągle, bez końca...

I cóż znaczy ten grzmot?— myślałem sobie... Czy wyraża radość, złośliwość, okrucieństwo? Nie! On nie jest echem żadnego uczucia ludzkiego, określonego; jest tylko hałasem — wrzaskiem żywiołu.

Około godziny trzeciej zeszedłem na ulicę, może poraz dziesiąty.

Gilotyna gotowa.

Dwie belki, oddzielone od siebie na szerokość pół metra wypełniającem ją ostrzem, zarysowały się na czarnem niebie, przedstawiając widok raczej dziwny, niż straszny. Wyobrażałem był sobie, że to narzędzie kary ma wygląd bardziej imponujący; ta maszyna wązka i długa, jakby zduszona, zrobiła na mnie wrażenie wyciągniętej szyi łabędzia na czatach: coś złowrogiego bez wielkości. Ciężki kosz pleciony podobny był do kufra koloru krwi i wzbudzał we mnie tylko uczucie odrazy. Wiedziałem, że w ten kosz kat zrzuci ciało jeszcze ciepłe i głowę odciętą, jeszcze drgającą...

Gwardya municypalna, która przybyła na chwilę przedtem, uformowała obszerne półkole przed fasadą więzienia. Konie parskały, gryzły wędzidła i kiwały głowami. Bruk bielał koło ich nóg, pokryty plamami piany. Jeźdźcy drzemali smutnie w czapkach futrzanych, nasuniętych na oczy.

Szeregi żołnierzy, zamykające plac i powstrzymujące tłum, cofnęły się cokolwiek w tył; przestrzeń przed więzieniem wynosiła obecnie trzysta kroków, zamiast dwustu.

Zbliżyłem się do linii mundurów dla przyjrzenia się tłumowi, który powstrzymywała w jego wiecznym wirze. Był to ciągły ryk ślepego żywiołu. Przypominam sobie ulicznika w bluzie, młodego zucha dwudziestoletniego; wzrok miał zwrócony ku ziemi i uśmiechał się, jak gdyby myślał o rzeczach ucieszných. Nagle głowę odrzucił po za siebie ruchem porywczym, otworzył usta szeroko i wydał z siebie krzyk przeciągły, bez słów; potem opuścił znowu oczy i ją nanowo się uśmiechać. Co zachodziło w duszy tego człowieka? Z jakich pobudek skazał się na ośmiogodzinne stanie, na spędzenie nocy bezsennej?

Ucho moje nie chwytało uwag obiegających w tłumie. Jedynie przenikliwe krzyki sprzedających dzienniki mogły zapanować nad tą wrzawą nieustanną.

Wykrzykiwali tytuły książek i broszur, zawierających życiorys a nawet opis stracenia i ostatnie słowa Troppmanna... Od czasu do czasu, słyszałem jeszcze rozprawy, śmiechy dzikie, przeraźliwe krzyki kobiet.

Pięć lub sześć głosów zaintonowało „Marsyliankę,“ lecz przerywało ją co chwila.

„Marsylianka“ jest tylko wtedy wspaniałą, gdy ją śpiewają tysiące głosów.

— Precz z Piotrem Bonaparte! — krzyczał głos donośny... Hu! Hu! Ah! Ah!...

Stanisława Augusta i jego dworzan stają oko w oko z możnym niedźwiedziem puszcz litewskich, któremu dano przydomek „Panie Kochanku.“ Król odwiedza magnata w jego mateczniku i to wraz z przygotowaniami obustronnemi składa się na osnowę. Rzecz prowadzona ze znaną rutyną i gładkością, bez wszelkiego artyzmu rozmyślnego. Niemniej przecież barwny tworzy się wizerunek, w którym zbiegło się wiele trafnie pochwyconych rysów. Wysoce zabawny jest i jednocześnie do zadumy pobudza stosunek świeżo obranego monarchy do potężnego panka. Jeden elegancki, starannie wykształcony, w nawyknieniach i gustach zupełny europejczyk, a nawet zachodniowiec — drugi szorstki, nieokrzesany, istne zwierzę gruboskórne, zdobne w mitrę książęcą, pychę sławnego rodu i nieobliczone skarby. Są to dwa zasadniczo wrogie żywioły. Jednakowo cierpią i męczą się, by spotkanie uczynić możliwie szczerem i serdecznem, choć to z góry zakrawa na mrzonkę. Poniatowski jedzie w odwiedziny jak na ścięcie, musi patrzeć na głupie szopki i wystawy gospodarza, pokrywać uśmiechem niecierpliwość i nudę — gdyż nie chce i boi się zrazić pożądanego sprzymierzeńca. Radziwiłła zaś łechce po dumie myśl przyjęcia tak dostojnego gościa, sadzi się na bajeczny przepych, wymarza cudaczne i dzikie rozrywki, a zarazem powstrzymać się nie może od wypłatania kilku figlów i psikusów, ażeby dać uczuć królowi jego biedę, zniewieściałość, żeby, słowem, upokorzyć „ekonomczuka“ namaszczonego olejami, według niego, bardzo podejrzanymi. To prosi go, aby zapolował na niedźwiedzia, to witając, przyprowadza kosztownego rumaka, wiedząc, iż przybysz konno nie jeździ, to popisuje się złotą chorągwią i zmusza go do musztrowania jej z powozu itd. Nie brak epizodów w najwyższym stopniu charakterystycznych. Obie przeciwległe sfery wyszły bardzo wypukło.

Naturalnie tylko pióro wytrawne i umysł wysoce ukształcony, swobodnie władający wskazówkami i dowodami historyi, mógłby się zdobyć na podobne dziełko. Jeśli zważyć, ile morału i posępnej refleksyi płynie z niego dla czytelników myślących, wypadnie, iż *Król w Nieświeżu* jest jednym z udatniejszych płodów ruchliwej Kraszewskiego muzy.

Adolf Dygasiński, *Nowe tajemnice Warszawy*. Romans obyczajowy w 3 tomach. Warszawa, 1887.

Jeśli oderwiesz wzrok od lazuru nieba, a skierujesz go na cuchnące bagno — przeskok nie będzie tak wielki, jak od owych, bądź co bądź, świetnych wspomnień przeszłości do brudnej jamy, którą obrał sobie za temat znany wychowawca i niedawno wsławiony powieściopisarz.

Idąc snać za przykładem różnych Troloppów-Fevalów, Eugeniuszów Sue, Ponson du Terailów, zapragnął on odmalować to, co się ukrywa za kulisami wielkomiejskiego życia, odwrotną stronę medalu, starannie trzymaną w cieniu przez obłudę, blagę i wszystkich jej sprzymierzeńców. Ten rodzaj opowiadań ogarnia zwykle dużo sfer naraz i przeto składa się nie z jednego jakiegoś obrazu, lecz z całej ich galeryi. Naturalnie związek musi być naciąganym i jest takim zawsze. Gdzie trzeba wyobrażać sceny pałacowe, połączone z orgiami złodziejów na zaułkach, a obok fałszerzów pieniędzy stawiać „naszych znanych i wielce szanownych,“ gdzie do wszystkich kątów społecznego gmachu ma się zazierać — tam o znośnej budowie i prostym układzie książki mowy być nie może.

Strach bierze na samą myśl o streszczeniu bodaj najzwięźlejszem *Nowych tajemnic*. Daleko łatwiej powiedzieć, czego tam niema, niż co się znajduje. Więc niema ludzi uczciwych i rozsądnych jednocześnie: jeżeli się już zdarza człek dobroduszny, jest głupi do nieskończoności, zaś sprytni są szubrawcami bez miary. Niema cnoty nigdzie, nawet w... kantorach bankierskich i redakcyach dzienników — co za potwarz! — ani nawet na scenie! Złota młodzież — hultaje, oszuści, łotry, gwałciciele, szubienicznicy; prasa brukowa i śmietanka — okrutnicy, faryzeusze; aktorka — kurtyzanka, no a cały spód, czyli biedacy, stanowią jedną wielką, na dziesiątki tysięcy liczną szajkę rzezimieszków, odbierających wychowanie w Liścieńcu (oj, biedny ten Studzieniec!). Autor lubuje się w barwach czarnych, powietrzu zgniłem szynkowni, podziemnych norach nad Wisłą i wogóle przytułkach nędzy, zbrodni i rozpusty. Jest to jakieś niepoema nie-Piasta nie-Dantyszka, w którem wszyscy potępieńcy łączą się w jedno wielkie zgromadzenie występnych. Wyznać należy, że po odtrąceniu sporej dawki przesady—zostanie pogląd dosyć zdrowy i z rzeczywistością zgodny. Doprawdy, gdyby mi kazano postawić znaki pytania obok miejsc w powieści p. Dygasińskiego, całkiem kłamliwych i świat realny parodyujących, nie miałbym odwagi wydobywać z kieszeni ołówka. Bo... bo nasze miasto w rzeczy samej uczyniło w czasach ostatnich olbrzymie postępy — dojrzewa, rośnie, i rozgałęzia się i korą grubą pokrywa, na której swobodnie mogą żyć i mnożyć się całe kolonie plugastwa. W kronikach sądowych znaleźć można obok nazwisk chłopskich i żydowskich, zdobne w herby włoskie i niewłoskie...

Wszystko więc byłoby bardzo piękne, gdyby nie pogoń za sensacyą. Autor posiada w dotychczasowych swych utworach, *Dni i noce w kantorze*, *Filozof i praczka* itp. nieco ironii. Rozumie on i dosyć zręcznie czasem okazuje, iż ród zwierzęcy zaczyna się na seryo dopiero od ludzi i w tym względzie staje na jednem z Zolą stanowisku. Ale Zola jest pesymistą dowcipnie pozującym na przedmiotowość — a p. Dyg. zdobyć się na nią nie umie za nic.

Przeniósł on do swej książki brutalne hałasy z *Le ventre de Paris*, *Nany* i *Germinala* i całej stolicy dał fizyognomię jakiejś rodziny Rougon-Macquartów, ale wpośród rozlicznych głosów żądzy, namiętności, żarłoctwa, pychy, nienawiści, bólu, cynizmu, samochwalstwa i wszystkich potworności, jakim daje karm wnętrze wielkiego miasta, najdonośniej i piskliwiej rozlega się głos samego opowiadacza. Sentencye z fizyologii, psychologii, pedagogiki, utarte abecadło zwątpienia i goryczy sypie jak z worka. Gromadzi niemożliwe sytuacye, jak gdyby podniecony przynajmniej beczką prawdziwej mokki... Rabusie np. łańcuchem opasują Łazienki, żeby złowić towarzysza—zdrajcę. W chwili przyspieszonego na ulicach ruchu, jakiś dorożkarz zostaje ściągnięty pętlicą z kozła i z zakneblowaną gębą rzucony w krzaki. Biedny robotnik, napadnięty przez opryszków nocnych, zabija aż trzech, a sam ginie czwarty. Ludzie z nad rzeki topią się całemi gromadami; inni z rodzinami żyją w kanałach, odprowadzających nieczystość. Dziad w biały dzień dusi babę dla zbogacenia się paru groszami. Słowem w Londynie i Paryżu nie dzieje się przez rok tyle okropności, ile w Warszawie przez parę tygodni, pod bokiem policyi, a pod okiem półmilionowej ludności.

Ponieważ nadto autor należy do żarliwych przyjaciół zwierząt i z zamiłowaniem bada ich życie duchowe, więc by ulubieńców nie obrazić, powierzył im ważne role w *Tajemnicach* — osobliwie psom. Jedne

---

Ryk się wzmagał; nagle krzyki stały się rytmicznymi: Bo-na-par-te, Bo-na-par-te— na nutę lampionów.

Ten lud zebrany rozsiewał woń przykrą; wszystkie te ciała wchłonęły olbrzymią ilość wina. Było dużo pijanych. Szynki iskrzyły się jak punkty czerwone na tle obrazu. Noc stała się czarną, niebo pokryło się zupełnie. Na drzewach, które zarysowały się jak widma, siadały kupy uliczników, gwiżdżących i naśladujących świergot ptaków. Jeden z nich spadł i skręcił kark. Zranił się śmiertelnie, ale tłum śmiał się z niego tylko.

Wróciłem do mieszkania naczelnika więzienia. Przechodząc przed gilotyną, spostrzegłem na pokładzie kata, otoczonego kilku ciekawymi; urządzał dla tych panów „próbę.“ Dotykał sprężyny u deski, do której przywiązują skazańca; deska stykała się z dziurą w formie półksiężyca, umieszczonego pod nożem. Poruszając ją, tem samem opuszczał nóż, który spadał ciężko, bez zatrzymania się, ze szmerem głuchym i nagłym.

Nie mogłem być obecnym tej próbie. Nie chciałem wejść na rusztowanie. Uczucie zbrodni, wstydu tajemnego opanowywało mnie coraz bardziej...

Być może dlatego, konie od gilotyny, które w spokoju spożywały wiązkę siana przed wrotami więzienia, wydały mi się jedynemi istotami niewinnemi pośród nas wszystkich.

Przytuliłem się znowu do kanapy i wsłuchiwałem się w ten szum płynącego morza. Przypływ ciągle się powiększał.

Zgodnie z przypowieścią, ostatnia godzina oczekiwania przeszła prędzej, niż inne. Wszyscyśmy się zdziwili, dowiedziawszy się, że wybiła godzina szósta i że tylko sześćdziesiąt minut upłynie jeszcze przed egzekucyą. Zawiadomiono nas, że za pół godziny pozwolą nam wejść do celi Troppmanna. Oznaki znużenia niezwłocznie zniknęły z wszystkich twarzy.

Nie wiem, co towarzysze moi odczuli w tej chwili, lecz moje serce ścisnęło się boleśnie.

Wprowadzono nowe osobistości: między niemi księdza, niskiego, o białych włosach, schudzonych rysach, odzianego w długą sutannę, z wstążeczką legii honorowej w dziurce od guzika i w kapeluszu o szerokich skrzydłach.

Naczelnik więzienia ofiarował nam kolacyę. Podano nam w salonie, na stole okrągłym, duże filiżanki czekolady. Nie zbliżyłem się nawet do niej, jakkolwiek gospodarz nalegał na mnie, abym zjadł cokolwiek dla posiłku, bo „powietrze ranne jest tak szkodliwe!“

Ale miałem odrazę do jedzenia; nie była odpowiednią chwila i poraz setny powtarzałem sobie: „nie mam prawa tu się znajdować.“ Nie czułem się na swojem miejscu.

— Czy spi ciągle?—zapytał ktoś z naszej grupy, kosztując swą czekoladę.

Nikt nie wskazywał Troppmanna po nazwisku; „on“ — mógł się tylko odnosić do niego.

— Spi — odpowiedział naczelnik więzienia.

— Pomimo tego wrzasku piekielnego?

Hałas stał się ogłuszającym; był to ryk chrapliwy; chór złowrogi nie brzmiał już *crescendo*, lecz wybuchał tryumfalnie, radośnie.

— Trzy mury oddzielają celę od ulicy— dodał naczelnik więzienia.

P. Claude, któremu powracała obecnie główna rola, spojrzał na zegarek i rzekł:

— Szósta minut dwadzieścia. Już czas...

W głębi sumienia każdy z nas drżał, nie wątpię, ale nikt nie chciał tego ujawnić. Jak gdyby nigdy nic, jeden po drugim, goście naczelnika więzienia wzięli swe kapelusze i udali się za swym przewodnikiem z łoskotem.

— Gdzie pan dziś obiadujesz? — zapytał głośno jeden z kronikarzy.

Przesadzał, widocznem było, że udawał obojętność.

(D. n.)

wypędzone przez srogich panów, przyczołgują się do nich, by u nóg zdechnąć, inne wściekają się i kąsają dzieci, inne znów zagryzają się na śmierć, a wszystkie są rzecznikami jakiejś reguły moralnej. Przepyszna psio-ludzka epopea walki o byt. Prawda, że kundysy, pinczery, dogi i buldogi dużo ważą na szali życia podwórzowego i salonowego — ale nie trzeba im powierzać misyj zbyt ważnych, albowiem znajdzie fatalne potwierdzenie żal nieboszczyka Lama, że „powieść polska zeszła na psy."

Autor lubi jednak *pozory* prawdy. Odtwarza np. „judenhecę" z wieloma szczegółami: niektóre skandale zaopatruje w daty i imiona prawdziwe; gdy mówi o szynce, serdelkach i wódce, podaje firmę, gdzie zostały kupione (szczyt realizmu!). Kilka postaci, jak reportera, który dzięki bezczelności zaawansował na pierwszego przedstawiciela prasy, jak przemysłowca grabiącego robotników, artystki wyjeżdżającej do Krakowa, ażeby odbyć podróż do... Krakowa, dobroczynnych dam, które przybyły powozem na Powiśle dla poratowania głodomorów, lecz na widok pluskwy zemdlały i uciekły, nie zostawiwszy ani grosza; generała meksykańskiego, który mocno przypomina znanego już profesora Kusocińskiego, i kilka innych jeszcze nosi na sobie cechę rzeczywistości i dobrej obserwacyi. Lecz te ziarenka nikną wobec labiryntu jaskrawych straszydeł, efektów obliczonych na czytelnictwo najniższego rzędu. I zaniedbany język, i rozwlekłość, i bezmyślność całych stronic powinnyby natchnąć p. Dyg. takiem np. na książce ostrzeżeniem: „rzecz wyłącznie dla kumoszek."

Cezary Jel.

Filograf. *Praktyczny sposób ustalenia pisowni polskiej.* Warszawa, 1887.

Mając na uwadze chaotyczność, panującą w pisowni spółczesnej, która, o ile się zdajo, długo jeszcze oczekiwać będzie na stanowczy wyrok Akademii umiejętności, autor niniejszej rozprawki na zasadzie wniosków deputacyi Towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie (1830 r.) postanawia sprawę rozstrzygnąć w sposób praktyczny, możliwie zgodny ze zwyczajem ogólnie przyjętym.

Dotkniemy tu jeno tych punktów, w których Filograf bądź różni się od wniosków deputacyi, bądź też w nieodpowiedni objaśnia je sposób. Nadmienić przytem winniśmy, iż lubo nie zgadzamy się na prawidła tego zgromadzenia, albowiem powstały one w czasie, gdy lingwistyka porównawcza zaledwie z powijaków wydobywać się zaczęła, wszakże uważamy je za jedyny jedyny jeszcze łącznik, który wobec wielu niezbadanych wątpliwości ortograficznych, mógłby nas w pewną zespolić jedność i wytworzyć tymczasową choćby zgodę, bądź co bądź, pożądaną.

Autor, oparłszy się na spółczesnych wynikach badań językowych, surowo gromi zadawniony zwyczaj odróżniania rodzaju przymiotników w przyp. 6 i 7 l. p. (dobrym ojcem, dobrym dzieckiem, w dobrym ojcu i w dobrem dziecku), tudzież 6 l. mn. (dobrymi ojcami, dobremi żonami, dziećmi), radząc natomiast używać bez różnicy rodzajowej form: dobrym i dobrem (ojcem albo dzieckiem) i dobrymi lub dobremi (ojcami, matkami, dziećmi). Chociaż Filograf ukrył się tutaj za puklerzem nowszej nauki, jednak wnioski, jakie stąd wywodzi, zgoła okazują się dowolnymi, gdyż zaimki (ji, ja, je), łączące się np. z tematami (dobr+ji = dobry, dobra+ja = dobra, dobro+je = dobre) mają w przyp. 6 l. p. *jim, jeją, jim*, w przyp. 7 *jem, jeji, jem*, w l. mn. na wszystkie rodzaje: *jimi* (patrz język starosłow.).

Co do pisowni słów: *módz, biedz*, autor mówi, że: „polskie módz, biedz... miały niegdyś postać *módzé, biedzé*... z których następnie końcowe *é* odpadło, tak, iż dzisiejsze formy: *módz, ledz, strzedz*, uważać można za *gołe tematy* bez końcówki trybowej." Nie wiemy, w jakich to pomnikach językowych znalazł Filograf rzeczone tematy. Być może, o czem autor nie wspomina, że forma *možti* (módz) zam. prawidłowego *mošti*, znajdująca się w Biblii Ostrogskiej, nasunęła mu tę hipotezę. W każdym razie pomnik ten wobec wcześniejszych kodeksów niezbyt poważne starosłowiańszczyzny stanowi źródło, zwłaszcza że wpływ dyalektologii ludowej niemało się przyczynił do przekształcenia języka tego zabytku.

W genezie dźwięków Filograf zbyt sobie niekonsekwentnie poczyna, gdyż utrzymując, że litera *i* wyraża brzmienie polskie *jy*, usiłuje pisownię tego znaku (idę zam. jidę, fonetycznie: jydę) udowodnić na drodze porównawczej z językami indo-europejskimi, zapominając jednak, że sanskr. *i*, łączące się z *a* w postaci tak zwanej guny *ai*, wydaje *ê*, czego w polskiem, tudzież innych narzeczach słowiańskich wcale nie masz.

Twierdzenie autora, jakoby niem. *sch.* było „organicznym przetworem pierwotnego (względnie) brzmienia podwójnego s+ch = polsk. sch, jak np. w wyrazie schować)" nie odpowiada dziejom niemczyzny; gdyż *sch* równa się gock. *sk*; *ch* bowiem jest przeistoczeniem *h* (porównaj gock. *mahts, nahts, vahsjan* i niem. *Macht, Nacht, wachsen*).

Między innemi autor poruszając kwestyę grafiki, tj. liter, zamiast biały, miasto itp., radzi pisać bjały, mjasto. Nie sądzimy, aby grafika na tem wiele zyskała, gdyż fizyologicznie rzecz biorąc, są to dźwięki jednolite, jak to już dowiedli Grützner, Kruszewski i inni.

W zestawieniu tego, cośmy o broszurze tej orzekli, nadmienić winniśmy, że praca Filografa w niczem sprawy ustalenia pisowni nie posunie, lecz dodając do dawniejszych nowe jeszcze teorye, dowolne, przyczynia się do tem większego na tem polu zamętu.

J. F. Gajsler.

LITERATURA RUSIŃSKA.

Konstanty Łuczakowski: *Antin Lubycz Mohylnyckij, jeho żytie, jeho znaczinie* (z portretem), w Sprawozdaniu rusińskiego gimnazyum lwowskiego za rok 1887.

Autor, nauczyciel gimnazyum rusińskiego we Lwowie, wyświadczył rzetelną usługę historyi literatury rusińskiej, zgromadziwszy cenny materyał do życiorysu jednego z dawniejszych i zasłużonych jej przedstawicieli, Antoniego Mogilnickiego. Co prawda, imię tego poety nie wyszło po za granice Rusi galicyjskiej; taki znawca piśmiennictw słowiańskich, jak Pypin, odmówił mu nawet zupełnie talentu poetyckiego, chociaż zdaje mi się, że tylko wskutek niedostatecznej znajomości jego utworów. Prawda też, że dla naszych czasów bardzo tylko niewielka część jego prac ma jeszcze znaczenie; przeważna część wielkiego poematu „Skit Maniawski" jest dziś przestarzałą i nie robi żadnego wrażenia, również jak bez wartości dla współczesnych czytelników są jego ody okolicznościowe, pisane zupełnie jeszcze w tonie pseudoklasycznym. Nie odznaczają się też utwory Mogilnickiego ani świeżością myśli przewodniej, ani świetnością formy, mimo że język jest zwykle czysty, jędrny, ludowy. Jego wielkie znaczenie i wpływ należą do historyi: w ciemnej i ubogiej dobie naszej literatury od r. 1850 do 1860 był on obok Ustjanowicza największym poetą Rusi halickiej, najbardziej czytanym i podziwianym talentem epicznym. Jego prace „Skit Maniawski" i „Rusyn wojak" stawiano obok poematów Mickiewicza. W tej smutnej epoce ogólnego odwracani się inteligencyi rusińskiej od ludu, ogólnej pogardy dla ludowego języka, utwory Mogilnickiego podtrzymywały bodaj w nielicznej garstce młodzieży wiarę w możność i przyszłość szczero ludowej literatury. Nie dziw więc, że w pierwszym brzasku nowej doby, w r. 1862 występujący wówczas na widownię nowy, prawdziwie ludowy poeta Fedkowicz przy pierwszym swym kroku odezwał się z gorącem powitaniem „do naszego ojca Mogilnickiego."

Ciężkie i ubogie w świetle chwile było życie Mogilnickiego. Urodzony w r. 1811, syn ubogiego księdza wiejskiego, już w drugim roku życia stracił ojca, przepędził lata dziecięce przy matce i ojczyźnie, w miasteczku Sołotwinie. Cztery klasy gimnazyalne ukończył u bazylianów w Buczaczu; stąd wypędzony za jakąś psotę, udał się (1831) do Czerniowiec na Bukowinie, gdzie przeszedłszy dwie pozostałe klasy gimnazyalne, zapisał się w liceum tamtejszem na pierwszy rok filozofii (teraźniejsza VIII l. gimn.), lecz i tu z niespokojnym temperamentem nie zagrzał miejsca. Przeniósł się więc do Lwowa, a stąd po krótkim pobycie poszedł piechotą do Pesztu, gdzie wreszcie ukończył nieszczęśliwą filozofię, straciwszy na tych wędrówkach dwa lata.

W r. 1837, jak cała prawie ówczesna młodzież rusińska, wstąpił Mogilnicki do gr.-kat. seminaryum duchownego we Lwowie, które ukończył w trzech latach. Tutaj też pod wpływem Szankiewicza napisał pierwsze swe utwory literackie w języku ludowym rusińskim — parę udatnych wierszy lirycznych i przemowę „O powinnościach poddanych." Po wyjściu z seminaryum ożenił się (1840) i wyświęcił (1841). W czerwcu tegoż roku wysłano go na administracyę duchowną do Chytara, malońkiej wioszczyny w górach Karpackich. Górska przyroda nie zrobiła na nim żadnego wrażenia, lud go nie zaciekawił. Nudził się w ustroniu bez towarzystwa, bez głębszych duchowych interesów. Po czterech latach, za jakieś przewinienie przeniesiono go na samodzielnego kooperatora do wioski Stańkowej, przyłączonej do parafii Zbory koło Kałusza, zaś we dwa lata później na zawiadowcę kapelanii Komarów, koło Halicza. Na tej maleńkiej, nędznej kapelanii przebył od roku 1846 do 1859 w bardzo niepomyślnych stosunkach materyalnych, których ciężar tem dotkliwiej odczuwał, że miał na barkach trzynaścioro dzieci, wymagających znacznego wydatku na utrzymanie i jakie takie wychowanie. Zarabiał też, jak mógł, spieniężał swe ogromne zdolności i pamięć: przygotowywał synów sąsiednich księży do szkół, prowadził liczne procesy chłopskie i księże, wypracowywał prośby, rekursa, podania po polsku, po niemiecku i po łacinie, słowem, trudnił się na wielką skalę pisarstwem pokątnem. Lecz obok tej czarnej pracy na chleb, nie zapominał o swych obowiązkach kapłańskich: założył w Komarowie szkołę parafialną i dla braku nauczyciela sam w niej uczył dzieci. Żyje jeszcze dotychczas jeden wiceдziekan, syn włościanina Komorowskiego, którego Mogilnicki razem ze swymi synami przygotował do gimnazyum.

Tutaj też, śród ciężkich kłopotów i trosk o chleb powszedni, zawitała do niego muza. Wedle opowiadań starego wysłużonego żołnierza czasów Napoleońskich, Sawy, napisał Mogilnicki cenne opowiadanie wierszowane „Rusyn wojak," malujące epizod z morderczej bitwy pod Legnano, gdzie jeden z oddziałów galicyjskich, osaczony na moście, rozbrojony przez francuzów, a potem odbity przez wojsko austryackie i postawiony za frontem bez oręża, drągami wyłamanymi z winnicy zdobył sześć armat francuzkich. Opowiadanie nadzwyczaj żywe i malownicze psuje za głośna nieco i potrosze nawet fałszywa nuta austryackiego wiernopoddaństwa. W tym samym czasie (1845 do 1852) powstał też poemat o Skicie

Maniaw skim, owym wielkim monasterze górskim, który aż do 1783 roku był ostatnią twierdzą prawosławia na Rusi halickiej. Mogilnicki nie znał prawdziwej historyi Skitu, która jest nierównie ciekawszą i poniekąd nawet poetyczniejszą od tego wątka. jaki on rozsnuł z podań ludowych i własnej fantazyi. Wedle Mogilnickiego Skit powstał nie w początku XVII stulecia, ale jeszcze za czasów książąt halickich, wkrótce po zaprowadzeniu chrześciaństwa na Rusi. Dwaj czerńcy, wysłani z Kijowa z baryłką wody pieczarskiej, mają na Rusi Czerwonej szukać źródła, w któremby woda posiadała taką samą wagę, a po długiem badaniu i zwyciężeniu pokus dyabelskich, znajdują to źródło w „błogosławionym kamieniu“ nad rzeką Maniawką, w górach Karpackich (obecnie pow. bohorodczański). Historya tych pokus i pierwszych lat życia mnichów kijowskich na odludnych górach Karpackich — oto osnowa pierwszej części poematu. Rzecz pewna, że talent — nie większy, ale więcej umysłowo rozwinięty, niż Mogilnickiego, byłby umiał z tej, chociaż tak mało wdzięcznej legendy, stworzyć poemat głęboki, zdołałby grube kontury legendy mniszej zapełnić głębszą treścią duchową, historyę błąkań i pokus przenieść w dziedzinę psychologiczną, w duszę bohaterów, jak to uczynił np. Byron z podaniem o Kainie i Ablu, Goethe z podaniem o Fauście itp. Lecz Mogilnicki dalekim był od tak głębokiego pojmowania legend ludowych i biorąc je w stanie surowym, nadając im wyrazistość, czynił je przeto jeszcze mniej prawdopodobnemi i zupełnie płytkiemi. Wskutek tego całe założenie jego poematu jest chybionem. Natomiast gdzie muza jego porzuca krainy ducha i maluje wiernie rzeczywistość, życie codzienne mnichów w pustyni, dawny i obecny Halicz itp. — tworzy ustępy prześliczne, które nigdy nie stracą swej wartości w literaturze rusińskiej.

Prócz tych dwóch większych poematów i kilku wierszy lirycznych, Mogilnicki napisał jeszcze z pół tuzina przygodnych, bez wartości, lecz ciekawych dla charakterystyki jego. Po wydaniu „Skitu Maniawskiego“ (1852) zamilkł prawie zupełnie; obiecana druga część poematu nie wyszła — snać autor poczuł, że na tej chybionej osnowie tkać dalej nie warto; fragment drugiej części, ogłoszony w r. 1864, dowiódł też, że autor pisał go niechętnie, sam siebie gwałcąc do pracy, z której już żadnej żywej iskry wykrzesać nie mógł.

W r. 1859 dano Mogilnickiemu parafię w Babczu i prawie równocześnie mianował go konsystorz dziekanem bohorodczańskim (na tej honorowej postawie M. niedługo pozostawał). W r. 1860 wybrano go na posła do pierwszego sejmu krajowego. Przemawiał z początku w sejmie dość często, ale nie odznaczał się ani głębszem pojmowaniem spraw, ani wpływem swego słowa. Wybrany przez sejm na delegata do wiedeńskiej Rady państwa, odzywał się tam rzadko. Raz tylko (27 czerwca 1861) miał przemowę dłuższą, w której po raz ostatni błysnął jego talent mówczy, od tego czasu gwiazda jego gaśnie. Działalność publiczna ustaje; niewybrany do sejmu w r. 1867, zagrzebuje się w życiu domowem, ciężkiem i szarem. Otoczenie jego, pozbawione wszelkich ważnych duchowych podniet nie mogło podtrzymać jego ducha — nastąpił smutny upadek, wspólny Mogilnickiemu z tak wielu utalentowanemi naturami, które same nie znachodząc wiary w swą działalność, a w otoczeniu interesu dla tejże działalności, z tęsknoty śmiertelnej szukają zapomnienia i pociechy w kieliszku. Umarł w tym smutnym stanie 1873 r., zapomniany przez ogół, niepożegnany ani jednem gorętszem słowem publicznem.

Dopiero w dziesięć lat później spróbował piszący te słowa odżywić pamięć zmarłego poety. Między papierami ś. p. Nawrockiego znalazłem obszerny list Mogilnickiego, w którym obok niektórych spraw osobistych zawierało się całe opowiadanie humorystyczne o pewnym księdzu starej daty, otumanionym przez chytrego awanturnika. Opowiadanie to ogłosiłem w *Zori*, czasopiśmie wydawanem przez p. Partyckiego, z prośbą o nadsyłanie innych materyałów do życiorysu Mogilnickiego. I rzeczywiście otrzymałem jeszcze kilka listów jego, których publikacya ożywiła interes do jego poezyi. P. Partycki też w dodatku do *Zori* wydał zbiór utworów Mogilnickiego, opatrzony własną przedmową. Prawda, zbiór wyszedł nie dość zupełny, ale, bądź co bądź, podał publiczności dużo rzeczy dawno zapomnianych, lub nawet wcale nieznanych.

P. Łuczakowski przyrzeka doprowadzić tę pracę do końca. Prócz życiorysu, chociaż i nie nadto bogatego w nowe fakty, lecz starannie opracowanego, podaje też parę nowoodnalezionych utworów Mogilnickiego i wzmianki o innych jego pracach, znajdujących się jeszcze w rękopisach, których mimo starania nie mógł dostać. Część druga poda ocenę prac Mogilnickiego. Życiorysowi zarzucić by można gdzieniegdzie niepotrzebną retorykę i rozwlekłość (cały np. § 4 jest zupełnie zbędny) i brak należytej miary w ocenianiu tak poety, jak i człowieka: biograf miejscami przemienia się w panegirystę lub adwokata i zamiast poprostu opowiadać fakty, broni Mogilnickiego przed zarzutami, których nikt przeciw niemu nie podnosi. Gdzieniegdzie wskutek tego tok opowiadania tak się zaciemnia, że prawie przypuszczać by można w danych miejscach (np. str. 34) działanie nożyc dozorczych...

Iwan Franko.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Ostatni konkurs na pomnik Mickiewicza. — Uparte łowienie wieloryba w Wiśle. — Dwa sposoby zakończenia nieszczęśliwej sprawy. — *Świat* krakowski. — Nasza sztuka drukarska. — Ukryty dyablik. — Znowu prośba do *Przeglądu katolickiego*. — Niegrzeczność *Gazety sądowej*. — Dziwy o prawie i zwyczaju. — Moja recepta na dolegliwości karnawałowe.

Ostatni konkurs na pomnik Mickiewicza wydał owoce w rodzaju poprzednich: nagrodzono trzy projekty a nie wybrano i nie uznano żadnego. P. B. Łaszczyński w *Gazecie warszawskiej* nie każe nam się smucić tym wypadkiem, owszem, zachęca do prób nowych. Bo—powiada—czyż byłoby pożądanem, ażebyśmy, dogodziwszy naszej niecierpliwości, wystawili na rynku krakowskim jakąś potworność, która by nam urągała przez wieki? Lepiej tracić odsetki na nagrody dla powołanych, niż utopić cały fundusz w lichem dziele wybrańca. Byłaby ta pociecha słodką, gdyby nie była gorzką— mianowicie, kosztowną. Jeżeli tak dalej ćwiczyć się będziemy w konkursach aż do wynalezienia rodzimego geniusza rzeźbiarskiego, to naprzód Mickiewicz może nie doczekać się pomnika w obecnem tysiącoleciu, a powtóre na koszta robót chybionych i ostatecznie bezużytecznych wydamy więcej, niż posiadamy na budowę cudu naszego świata. Kłopotem najbardziej grzeszkim, z którego się wydobyć najtrudniej, jest niezdolność. Nam się zdaje, że między nami jest Samson dłuta, tylko mu włosy obcięto; czekamy więc, aż odrosną i odrastanie to widzimy w „postępach“ pomysłów projektowanych. Że śród nas Samsona takiego nie ma — uznać nie chcemy. Gdyby nam przyszła myśl łowienia w Wiśle wielorybów, po kilku bezskutecznych przedsięwzięciach uwierzylibyśmy, że w Wiśle wielorybów nie ma. Najoczywistsze wszakże dowody nie mogą nas przekonać, że w gronie artystów swojskich nie ma olbrzyma-rzeźbiarza zdolnego stworzyć arcydzieło. A jeśli nawet dochodzimy do tego przekonania, to nie tracimy nadziei, że go cierpliwością, dręczeniem małych talentów, urządzaniem między nimi coraz nowych wyścigów w końcu wyhodujemy. Współczesny nam polak musi wymyśleć Mickiewiczowi pomnik wspaniały — oto jest punkt wyjścia, naczelny artykuł wiary wszystkich komitetów tej sprawy. Nie potrzebuję wykazywać, że jest to bardzo naiwne złudzenie, gdyż wyniki dotychczasowych konkursów zaświadczyły wymownie, że taki polak jeszcze się nie narodził albo nie dojrzał. Pozostają zatem dwie drogi: albo zaczekać z całem przedsięwzięciem do pokoleń następnych, dopóki z nich nie wyjdzie bodaj w zmniejszonym nieco formacie Michał Anioł; albo też, wiedząc już dokładnie, co każdy z żyjących obecnie rzeźbiarzów naszych dać może, wejść z nim odrazu w porozumienie bez naznaczania nowego turnieju, bez zapieczętowanych kopert, w których kryją się nazwiska wszystkim wiadome, nadewszystko zaś bez wyrzucania pieniędzy na prace nieużytkowane a więc zmarnowane. Przypuśćmy, że najwięcej talentu objawił p. Godebski lub Rygier; jeśli dotychczas ich pomysły są wadliwe, wskazać braki i objawić żądania, niech wedlug sił model wypracują. Ale jeszcze nowy konkurs, jeszcze rezultat ujemny, jeszcze tysiące guldenów straconych na projekty bezużyteczne, jeszcze kilkadziesiąt prac zmarnowanych — ach, to chyba za wielka rozrzutność.

A jednakże ten Kraków, tak bezpłodny artystycznie względem pomnika Mickiewiczowskiego, często zawstydza Warszawę swym artyzmem. Od nowego roku wychodzi tam dwutygodnik *Świat*. Jego stronę literacką, przeważnie beletrystyczną, pomijam; ale ilustracyjna i wogóle typograficzna — świetna. Tak gustownego, wytwornego i ozdobnego pisma obrazkowego dotąd prasa polska nie posiadała. Jestto wydawnictwo, które swą szatą zewnętrzną nie przypomina zakątka, ale świat szeroki. Sztuką drukarską Kraków nie w tym jednym wypadku pobija Warszawę stale. Doprawdy nie umiem objaśnić, w czem tkwi przyczyna uderzającej różnicy: bierzemy dobry papier, nowe czcionki, rysunki znakomitych artystów, a mimo to książka lub ilustracya warszawska nie wytrzymuje porównania z krakowską. Miasto nasze cierpi pod tym względem na jakąś zadawnioną ułomność. Nie potrzeba dla dostrzeżenia jej szukać przykładów w stolicach Europy, gdyż nawet wydawnictwa tak drobnych i ubogich społeczeństw, jak chorwaci, słowieńcy, serbowie, o wiele przewyższają naszę. Książka warszawska jest zwykle brudna, zamazana, wygląda pospolicie, niegustownie, czasem niechlujnie, nie przyciąga, ale odpycha swą zewnętrznością. Ilustracye niewiele od niej strojniejsze. Trudno zaprzeczyć, że ich nakładcy nie żałują kosztów i trudów, a jednak nie osiągają celów artystycznych. W naszych tłoczniach siedzi ukryty jakiś dyablik, który oszpeci najpiękniejszy rysunek, zepsuje najdelikatniejszy drzeworyt. Będzie też miał wielką zasługę w dziejach drukarstwa ten, kto uszlachetni warszawskie. Powinniśmy nieco dalej odejść od Gutenberga.

Przegląd katolicki dał mi nową karteczkę polecającą do piekła, za co mu serdecznie dziękuję, gdyż mam jakieś przeczucie, że on i tam będzie wychodził, jeśli nie dla poprawy, to dla rozweselenia potępionych. O tę więc sprawę już z nim sporu toczyć nie będę, ale jeśli już tak na mnie łaskaw i zawsze gotów oświecić mój ciemny rozum, niech też raczy wytłomaczyć mi zagadkę następującą: dlaczego, mimo szeroko rozlanej w naszem społeczeństwie pobożności, wszystkie konkursy religijne nie udają się i nęcą tylko zapaśników miernych? Znane są losy obrazu św. Łukasza; teraz znowu

rozstrzygnięto konkurs na mszę z organami. „Z pomiędzy 9 nadesłanych utworów *8 odrzucono*, już to z powodu nieudolności inwencyi i formy, już też skutkiem wadliwości technicznych.“ Ogółem zaledwie 9 prac a z tych 9 aż 8 niezasługujących na tolerancyę — statystyka ta wydaje mi się bardzo smutną i jak gdyby zdradzała słaby wpływ *Przeglądu katolickiego*. Czy ja się nie mylę? Proszę o odpowiedź przedmiotową, nie o bilet rekomendacyjny do piekła, bo mnie tam już z dotychczasowymi dowodami niezawodnie wpuszczą.

Do jakiego stopnia niegrzeczności posuwają się u nas czasem ludzie piszący publicznie, dowodem p. S. z *Gazety sądowej*. Człowiek ten, ni mniej ni więcej, tylko 28 stycznia a więc na 2 tygodnie przed końcem bardzo krótkiego karnawału wydrukował artykuł „o prawie najmującego mieszkania do spokojności nocnej,“ w którym usiłuje dowieść, że każdy męczennik, torturowany po nocach hałasami tańcującego sąsiedztwa, może na nie wnieść skargę do sądu zarówno cywilną, jak karną. Muszę choć w krótkim zwarciu przytoczyć ten wywód, ażeby czytelnik sam ocenił jego dziwaczność. Kodeks—powiada autor—wyraźnie stanowi, że nająwszy mieszkanie, „mam prawo używać go spokojnie, w sposób określony umową lub według przeznaczenia domniemalnego. (Zwracam uwagę czytelnika, że samo wyrażenie: „mam prawo...“ jest bezzasadnem, obcem, tchnie zbyt cudzoziemczyzną). Podstawą domniemań musi być natura rzeczy. Natura rzeczy wymaga nocnego spoczynku. Mam więc prawo (znowu prawo!) żądać spokoju w nocy, a kto mi go narusza, narusza moje prawo (ach!). Autor wskazuje odpowiednie paragrafy kodeksu, na mocy których mogę żądać rozwiązania umowy lub wynagrodzenia szkód. Jako biegły znawca ustaw krajowych, nie może on ominąć głównej tarczy towarzystwa Fikalskich, art. 1,159, zastrzegającego, „że wszelkie umowy tłomaczyć należy podług zwyczaju miejsca, w którem zostały zawarte,“ ale wykręca go twierdzeniem, że „urządzanie zabaw hałaśliwych nie stanowi zwyczaju powszechnego“ u nas i że one wyrosły „na tle innych stosunków, gdy każdy był istotnie Tomkiem w swoim domku.“ Zaznaczyłem już doktrynerstwo autora i zapatrzenie się na obce wzory w przyznawaniu naszej jednostce „prawa,“ ale cóż ten człowiek mówi o „zwyczaju?“ Według niego „zabawy hałaśliwe“ nie są u nas „zwyczajem powszechnym.“ Jestem przekonany, że w Warszawie na 100 biedaków nie wypada trzech, nieprągnących naruszyć spokojności nocnej sąsiada. Ponieważ zaś rozmaite zwyczaje tak dalece wsiąkły w krew naszą, że gdybym zobowiązał się do zapłacenia wierzycielowi długu na maskaradzie, zjawił się na pierwszej i nie znalazł go, on zaś przyszedł na trzecią i nie zastał mnie a potem wytoczył mi proces, przegrałbym sprawę, bo pod wyrazem maskarada porządny warszawiak może rozumieć tylko trzecią—ponieważ nie mniej mocnym i szacunku godnym jest zwyczaj tańcowania w karnawale przez całą noc z możliwem lekceważeniem spokoju sąsiadów, przeto p. S. daremnie wzywa na pomoc kodeks cywilny. Ale okrutnik nie poprzestaje na tej zemście i odwołuje się również do karnego. „Nie ulega wątpliwości — powiada— że gdyby ktoś, w celu zamącenia mojego spokoju uderzał w okiennicę mego mieszkania, kołatał do drzwi lub w sufit po nad moją głową, spełniałby karygodną samowolność. Ci, którzy uderzają obcasami a nie innem narzędziem, objektywnie spełniają toż samo.“ Nasze bale, nasze zabawy z ognistemi spojrzeniami, czerwonymi frakami, szmerem półsłówek i gorączkowych oddechów, naszą piękną poezyę towarzyską zredukować do tłuczenia obcasami, za któro karzą paragrafy 142 i 9 ustawy— nie, to przechodzi wszelkie granice impertynencyi.

Kto jedynie czytał artykuł *Gazety sądowej* a zwłaszcza posiada swój własny, przez nikogo więcej niezajmowany dom, zgodzi się ze mną na oburzenie i energiczne odparcie tej obrazy karnawału; ale ponieważ niektórzy z moich czytelników nie posiadają własnego domu i nieraz, zdrowi i chorzy, muszą spędzać bezsenne noce śród łoskotu, jak gdyby obok nad lub pod sobą mieli stajnie, więc należy w ich interesie kilka słów powiedzieć. Nie ulega wątpliwości, że prawo powinno stanąć w ich obronie, w obronie ludzi spracowanych, chorych, łaknących spoczynku, którzy w karnawale skazywani bywają na straszne męczarnie przez swych wesołych sąsiadów. Pomyśleć, że każdemu wolno tańczyć z licznem towarzystwem noc całą nad konającym lub wijącym się w cierpieniach, że mu wolno tego męczennika dobijać lub zabijać a w każdym razie torturować — okropnie! Zwyczaj nie prędzej ograniczy te znęcania się, aż — jak to nastąpiło już w całej niemal Europie — życie rodzinno-towarzyskie nie ustąpi miejsca klubowemu. Gdy zabawy hałaśliwe i tańce przeniosą się do resurs, do przeznaczonych na ten cel miejsc publicznych, będziemy w naszych mieszkaniach podczas karnawału pracowali, sypiali, chorowali i umierali spokojnie.

Wątpię bardzo, ażeby elastyczne i ze zwyczajem sprzeczne artykuły obecnych ustaw, przyzwane na pomoc, osłoniły krzywdzonych. Ponieważ zaś i ja każdego roku przez kilka tygodni cierpię po nocach męki, wzięty nieraz z czterech stron w ognie karnawału, więc towarzyszom tej niedoli zalecam skuteczne lekarstwo, którego w takich wypadkach oddawna używam: oto pracując lub leżąc bezsennie w łóżku, pocieszam się, że gdyby na suficie mojego mieszkania tańczyli „dzielni wioślarze,“ pod podłogą „dzielni lutniści,“ za prawą ścianą „dzielni subjekci handlowi,„ a za lewą „dzielni cykliści“— prawdopodobnie byłoby mi jeszcze gorzej. Zamiast więc skargi, dziękuję losowi, że na górze, na dole i z boków nie bawią się dzielni, tylko zwykłe, drygujące mieszczaństwo. W tej filozofii mocno mnie ukrzepił p. Łaszczyński pociechą, że lepiej tracić odsetki od kapitału pomnikowego na nagrody lichym projektom, niż cały kapitał na lichy pomnik.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Żłobki. — Mrozy i służba folwarczna.— Lekarze na prowincyi i środki poprawienia ich bytu.— Siła znachorska i niemoc inteligencyi. — Przypadek otwierający oczy chłopom ukraińskim.— Czem oddychają robotnicy lubelscy? — Projekt oddziałów zastawniczych. — Męczennik dąbrowiecki.

Dziennik łódzki wystąpił z bardzo ważnym projektem żłobka dla dzieci, któremi rodzice nie mogą się opiekować. Włościanie w Lubelskiem jeszcze w r. 1879 z własnego popędu poczęli zakładać takie instytucye. Miasto zaś przemysłowe, liczące 150,000 przeważnie biednej ludności fabrycznej, nie może się zdobyć na to. Projektodawca słusznie zaopiekowanie się tą sprawą poleca miejscowemu Towarzystwu dobroczynności i gminie izraelskiej. Ale, niestety, pierwsze zasklepiło się tylko w wydawaniu wsparć tygodniowych i więcej o niczem innem słyszeć nie chce. Nawet ciągle wzrastająca ruchliwość instytucyi żydowskiej nie budzi go do współzawodniczenia. Autor obliczając koszt, nie pominął najmniejszego drobiazgu. Przy pomocy publicznej taki przytułek niemowlęcy dałby się bajecznie tanio urządzić. Ziewające bogate łodzianki miałyby sposobność spełniania uczynków miłosiernych: szycie koszulek, pieluch, prześcieradeł, powłoczek, kołderek, czepeczków itd. Ważniejsze punkty regulaminu są takie: przytułek znajdą jedynie dzieci przy piersi, od dwóch miesięcy wieku. W razie wolnych miejsc mogą być przyjęte „odstawione,“ nie starsze jednak, nad dwa lata. Biedniejsze mają pierwszeństwo. Matki, karmiące piersią swe dzieci, obowiązane są dokonywać tej czynności dwa razy dziennie. Bieliznę, pożywienie, mieszkanie i całą opiekę daje żłobek bezpłatnie. Rodzicielki, w razie nieprzyjęcia dzieci, mogą zapisywać je jako kandydatów na pierwszy wakans. Dzieci przebywają w żłobku tylko przez dzień, lecz z wyjątkiem niedziel i świąt uroczystych. W razie okazania się dyfterytu, lub innych chorób zakaźnych, zakład natychmiast powinien być zamknięty na pewien czas, bielizna zaś, sprzęty i naczynia poddane dezinfekcyi.

Czy żłobek przyczyni się do rozpowszechnienia śród ludności biednej prawidłowych sposobów pielęgnowania dzieci? Wątpliwość tę projektodawca, p. Śliwiński, rozprasza faktami z własnego doświadczenia. Był sam organizatorem przytułku dla niemowląt na wsi. Widział, że nawet bardzo biedne matki przestały dzieciom dawać kapustę, barszcz itd., że częściej zaczęto je kąpać, że kilka matek zaniechało kołysania, a wszystkie bezwarunkowo zarzuciły barbarzyński zwyczaj spowijania.

O takich zakładach najrzadziej u nas myślano i mówiono. Szkoda, bo to tylko, co się niepomiernie rozedmie i roztrąbi, dźwięczy przez pewien czas w uszach naszego ogółu i pobudza do dobrych chęci. Jeśliby żłobki stały się obowiązkowymi w każdej wsi, ileżby to uchroniło się niemowląt zjadanych przez świnie, umierających w męczeństwie z poparzenia, z porażenia słonecznego w czasie żniw, oślepionych przez koguty itd.! A ta klasa płci nadobnej, trawiona czczością życia bezwładnego, bojąca się stykać, jak ze złym duchem, z rowieśnicami zależnemi od jej mężów lub ojców? Znalazłaby celowość swego istnienia w opiece czynnej i moralnej nad przytułkami dla dzieci chłopskich.

Pierwsze mrozy minęły, pozostawiając tylko żal po sannie bogatym a klęski nędzarzom. Tych tygodni ludność wyrobnicza włościańska nie prędko zapomni. W Płockiem robotnicy żyjący z dniówek kilkunastogroszowych woleli głodno leżeć w zimnej izbie pod „werami“ obok zamarzniętej w naczyniach kuchennych wody i pomarzłych kartofli, niżeli pracować. *Korespondent płocki* zajmuje się ciężką dolą parobków dworskich, których podczas mrozów przewożono z folwarku na folwark często z niemowlętami. Skostniali w drodze spieszyli pod strzechę zimną w zmrożonym barłogu. A jak się ci ludzie ubierają? Oto głowy rodzin mogą z wielkim trudem zaopatrzyć tylko siebie samych w ciepłą odzież. Żona zwykle ma stare dziurawe ubranie mężowskie, a dzieci — rozpadające się łachmany matczyne. Obuwia ten drobiazg nie zna wcale; spędza on dni i noce zimowe w kominie lub na przypiecku. Gromadki koczowników z przymusu przed nowym rokiem wypowiedziały rozpaczliwą walkę mrozowi. Zdaje mi się, że prawo starożytne, skazujące na zagładę wątłe organizmy, mogłoby współzawodniczyć z dzisiejszym zwyczajem dworskim. Dzieci ubrane w koszulinę, dziurawe spodnie, poszarpaną letnią czapkę, albo i bez niej, w obuwiu z gałganków, wędrowały z rodzicami do nowych siedzib. Silniejsze wyszły zwycięzko, słabsze, a tych była większość, znalazły spokojne schronienie na cmentarzach, za niemi poszło mnóstwo kobiet, których wątłe ciało nie mogło się przystosować do srogiego zimna.

Sprawa bytu lekarzy na prowincyi od czasu do czasu błąka się w prasie naszej prawie niedostrzeżona. A domaga się ona nietylko wielkiej uwagi, lecz i gruntu pod nogami. W tym duchu przemawia jeden z interesowanych w *Kuryerze codziennym*. Lekarze powinni znajdować się przynajmniej w miasteczkach. Czy jednak to mo-

żebne? Na pytanie owo najlepiej odpowiedzą przykłady: w gub. radomskiej są dwa miasteczka, płacące doktorowi roczną pensyę — jedno 400, drugie 240 rs. W pierwszem mieszkało kolejno dwóch lekarzy. Jeden zarobił przez rok oprócz pensyi 200 rs., drugi pobył przez kilka miesięcy i... uciekł, aby nie umrzeć z głodu. Dziwnem się pewno wyda — mówi świadek — jak 2,000 ludności może dawać tylko 200 rs. dochodu. Uwierzy temu łatwo każdy, gdy się dowie, iż wizytę na mieście płacą 20—30 kop., w domu 10. W mieścinie takiej jednocześnie znajduje się dwóch, trzech felczerów, którzy również chcą zarabiać. W braku lekarza sami praktykują, zalecając na wszelkie choroby: pijawki i puszczanie krwi. Aptekarz wprawdzie popiera doktora, a ksiądz z ambony stara mu się wyrobić uznanie ogółu, lecz i felczerzy nie śpią; rozpuszczają pogłoski, że doktór nie skończył kursów, że nic nie umie; łapią chorych na drodze i przemocą prowadzą do siebie; wreszcie zniżają cenę porady, leczą nawet darmo, byle zgnieść swego współzawodnika. Łatwo to im idzie—powiada skarżący się—gdyż zżyli się z ludnością, pokumali, idą z pacyentem na kieliszek do szynku. Są inne przeszkody dla lekarza: chłop rzadko się doń udaje, gdyż nie wierzy w jego naukę, widzi w nim człowieka z odmiennej sfery, poradę uważa za drogą, ma znachorów, którzy mu bardziej swojemi ziołami i zamawianiami imponują. Dopiero gdy niema ratunku — wzywa doktora. Dla zwalczenia złego, korespondent podaje taki projekt: Ludność wiejska nie chce o swojem zdrowiu pamiętać, trzeba ją tedy zmusić do tego, tworząc prawidłową, stałą pomoc lekarską. Przypuśćmy, iż pensya doktora oznaczoną będzie rocznie na 1,200 rs., za to pobierający obowiązany byłby do niesienia pomocy w czterech gminach przyległych, że zaś w każdej jest po kilka wsi, zatem na jedną wypadłoby niespełna 100 rs. Dodajmy felczera stałego z pensyą rs. 600 i akuszerkę rs. 400, więc cała służba lekarska na cztery gminy kosztować będzie rs. 2,200, czyli na jedną wieś około rs. 200, za co wszyscy płacący podatek korzystaliby z porady bez żadnych dodatkowych honoraryów. Cyfra powyższa bardzo jest nizką w stosunku do haraczu, płaconego owczarzom, znachorom i felczerom. Czy projekt ten ma być wystarczającym dla całkowitego załatwienia sprawy — wątpię. Jednostka inteligentna zawsze może mieć wpływ moralny na masy ciemne. Nie dość udzielić suchej porady, a zdaje mi się, że większość skarżących się na tem tylko ogranicza swoją z ludem styczność. W miarę jej rozszerzania po za specyalnością wzrastałaby praktyka, a zarazem nie ciążyłaby potrzeba „towarzystwa, z którymby żyć można, a który to brak — jak twierdzi korespondent *Kuryera* — doprowadza młodego lekarza, iż posłannictwo swoje, gdy się wreszcie osiedli na prowincyi, traktuje jak rzemiosło, zabijając nudy grą w karty.“

Utyskiwanie inteligencyi na znachorów przypomina bezsilne skargi dziecinne. Zdawałoby się z tego, że i światli wierzą w moc „nieczystej siły,“ którą wyzyskiwacze w siermiędze się posługują, według mniemania ludu. Wszakże dość takiego wypadku, jaki niedawno zaszedł na Ukrainie, aby zasłona ślepowidzącym z oczu spadła. Jedynaczka głośnego arcyznachora zachorowała ciężko. Przez kilka miesięcy leczył ją owczarz po swojemu, zwoływał konsylium z kolegów, lecz wszystko na nic. Wreszcie zwątpiwszy o swej wiedzy i mocy, wezwał lekarza. Po dokonanej operacyi chora przyszła do zdrowia. Cała ludność wioski, zaciekawiona, obległa chatę znachorską, a kiedy uszczęśliwiony ojciec padł zbawcy do nóg, w gromadzie zawołano:

— Ot tobi i znachor: narod duryw, da hroszy braw!

Wieść szybko się rozbiegła po okolicy, włościanie z dalekich wsi przyjeżdżają, aby rzecz sprawdzić na miejscu i zobaczyć, jak teraz wygląda ex-znachor, który straciwszy powagę i zaufanie, wziął się do pracy na roli. Czyby ten wypadek nie mógł nasunąć innych, rozmyślnych sposobów demaskowania oszustów? Na Litwie ciemna wyobraźnia włościan stworzyła udręczenie w formie tak zwanych *zawitek*. Jest to garść kłosów, złamanych w zbożu stojącem. Przy tej czynności człowiek złej woli rzuca jednocześnie klątwę na rodzinę lub dobytek właściciela zasiewów. Lament straszny powstaje, gdy się znajdzie *załom*, nikt nie może go wyrwać oprócz znachora, który udaje wysiłek, stęka i pada z wyrwanemi źdźbłami. Robi to wrażenie na tłumie. Rzecz dziwna, iż inteligencya patrzy na to obojętnie, a wszakże dość tylko ręką sięgnąć na miejsce przekleństwa, aby zabić w chłopie wiarę w te głupstwa.

Z Dąbrowy Górniczej korespondenci donieśli o strasznym wypadku. Dyrektor i sekretarz zarządu kopalń Tow. francusko-włoskiego polecił kontrolerowi, Franciszkowi Kliszewskiemu, spuścić się szybem „Paryż“ po szali na głębokość 60 sążni dla zbadania, jaki jest jeszcze do wydobycia zapas węgla. W chwili gdy K. wstąpił na platformę, maszynista ściągnął kontrparą bęben linowy, a potem jeszcze gwałtowniej puścił maszynę w bieg. Wtedy pękło górne ogniwo od łańcucha i szala spadła na sam spód szybu, przebiła ciężarem 400-pudowym podłogę podszybową i zapadła się dalej na dwa sążnie do t. z. żapla, zbiornika wody kopalnianej. Dopiero nazajutrz wydobyto zwłoki męczennika z połamanymi członkami i urwaną nogą. Służalczość maszynisty pod okiem jego najwyższej władzy przebrała miarkę w gorliwym pośpiechu. Wraziła mi się uczynność poległego na stanowisku. Przed dwoma laty, pomimo nawału zajęcia, zjechał ze mną tym samym szybem do kopalń, jako najlepszy przewodnik. Wstępując na szalę, przeżegnał się. Czy się pan boisz śmierci? — zapytałem. Nie, tylko się boję osierocić najbliższych mi. Gdyby nie to, ten mój przyszły grób w węglu nie przerażałby mię. Szczególne fatum zawisło nad ludźmi w szybie „Paryż.“ Po pierwszym wypadku zginął przy odkopywaniu Kliszewskiego drugi robotnik, następnie trzeci został zabity kawałkiem węgla spadającego z szali.

Drogomir.

PRASA RUSKA.

Petersb. Wiedomosti piszą:

„Za dawnego zarządu finansowego, cudzoziemcy, zakładający fabryki w Królestwie Polskiem, korzystali z najrozmaitszych przywilejów, graniczących nieraz z jawnem naruszeniem prawa. Tak np. zgodnie z ustawą celną, ani jeden z wyrobów zagranicznych, wniesionych do listy opłacających cło, nie może być wydany ze składów celnych aż po zupełnem opłaceniu podatku: lecz główny ten przepis nie zawsze był wykonywany przez urzędników komór w Sosnowcu, Granicy i innych w tych wypadkach, jeżeli sprawa dotyczała wysyłek lub towarów adresowanych na imię któregoś z cudzoziemskich przemysłowców lub fabrykantów, jakich znajduje się wielu na całej linii granicy, oraz w guberniach Królestwa Polskiego. W obecnym czasie stosunki się zmieniły i cło pobierane jest bez żadnych prolongat; lecz zarządzający interesami przemysłowców zagranicznych nie mogą przywyknąć do takiego stanu rzeczy i występują nieraz z dziwnemi pretensyami. Książę v. Hohenlohe posiada w powiecie olkuskim, gubernii kieleckiej, około 200 działów, wydzierżawionych od osób prywatnych na zasadzie rozporządzenia z d. 28 czerwca 1870 r., dozwalającego na prowadzenie robót górniczych w guberniach Królestwa Polskiego na gruntach cudzych. Niedawno kierujący kopalniami rudy księcia Hohenlohe sprowadził z zagranicy ogromną liczbę maszyn i narzędzi, koniecznych do prowadzenia robót, za które, jak donosi nasz korespondent z Sosnowca, należało opłacić na korzyść skarbu około 200,000 rubli kredytowych cła. Pełnomocnik księcia, zgłosiwszy się po odbiór maszyn, przedstawił władzy celnej piśmienną deklaracyę, iż opłaci cło w ciągu trzech lat. Kiedy mu odpowiedziano, iż jest to rzeczą niemożliwą i że przedmioty nie zostaną oddane aż do opłacenia całkowitej sumy cła, pełnomocnik obruszył się i zagroził, iż wniesie skargę do Petersburga na urzędników celnych. Wszystkie jednak protesty jego były daremne, a otrzymana z Petersburga depesza zmusiła go do zapłacenia całkowitego cła w ciągu najkrótszego czasu. Wiadomość ta szybko rozeszła się po okolicy i wywołała silne wrażenie. Cudzoziemcy nareszcie zrozumieli, iż złoty wiek dla nich przeminął bezpowrotnie.“

ZAWIADOMIENIA URZĘDOWE.

Paw. Wiest. ogłasza:

Na mocy Najwyższego rozkazu w d. 18 października r. 1887 oddano pod sąd specyalnego wydziału senatu: 1) mieszczanina m. Odessy, Orzycha, lat 23; 2) mieszczanina m. Gruszecka, Pietrowskiego, lat 26; 3) korzystającego z przywilejów setnika wojsk dońskich, Czernowa, lat 25; 4) szlachcica Aleksandrina, lat 24; 5) mieszczanina m. Taganrogu, Sygida, lat 24; 6) żonę poprzedniego, lat 25; 7) żonę urzędnika dymisyowanego, Trynitacką, lat 36 i 8) mieszczankę m. Akermanu, Fedorowowę, lat 22, oskarżonych o to, że, wstąpiwszy do tajnego stowarzyszenia rewolucyjnego, tytułującego się *Narodną wolą*, mającego na celu obalenie środkami przemocy istniejącej w państwie organizacyi rządowej i społecznej, przechowywali u siebie w celach wykonania całego szeregu obmyślanych przez wzmiankowane stowarzyszenie czynów terorystycznych zupełnie gotowe bomby wybuchowe, przyczem niektóre z wyliczonych powyżej osób urządziły oprócz tego w m. Taganrogu dla celów antirządowej propagandy tajną drukarnię, odkrytą w d. 4 lutego r. 1886. Odłożywszy sądzenie sprawy Orzycha, z powodu jego choroby, specyalna komisya senatu rządzącego wyrokiem z d. 20 grudnia r. 1887 uznała Pietrowskiego, Czernowa, Aleksandrina, Akima i Nadzieję małżonków Sygidów, Trynitacką i Fedorowę za winnych czynów występnych, przewidzianych art. 249 ust. o karach i skazała na pozbawienie wszelkich praw stanu oraz na karę śmierci przez powieszenie. Jednocześnie wobec ujawnionych na śledztwie okoliczności senat postanowił udać się do łaski Monarszej o zmianę kary śmierci dla Czernowa, Aleksandrina, Trynitackiej, Nadziei Sygida i Fiedorowowej na karę ciężkich robót z różnymi terminami. Po wydaniu wyroku Pietrowski, Akim Sygida, Czernow, Aleksandrin i Nadzieja Sygida podali prośby o ułaskawienie, w których skazani, wyrażając szczerą skruchę i powołując się na to, że zostali wciągnięci do występnego związku przez innych, bardziej doświadczonych złoczyńców, błagali o zmianę im losu. Najjaśniejszy Pan raczył najmiłościwiej rozkazać, aby zmieniono Pietrowskiemu, Sygidowi, Aleksandrinowi, Czernowowi, Trynitackiej, Nadziei Sygidowej i Fiedorowowej określoną przez wyrok z d. 20 grudnia 1887 r. karę na zesłanie do robót ciężkich: Pietrowskiego i Sygida bez terminu, Aleksandrina na lat 18, Czernowa na lat 15, Trynitacką na lat 12 i Nadzieję Sygida oraz Fiedorowową na lat 8 z pozbawieniem wszelkich praw stanu.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Ministeryum oświaty występuje z projektem podwyższenia wpisu rocznego w uniwersytecie warszawskim z 25 do 100 rs. i w dorpackim z 25 do 50 rs.

Petersb. Wied. donoszą, iż powtórnie podniesiono sprawę obłożenia towarzystw kolejowych podatkiem pobieranym od przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych. Ministeryum skarbu opracowało już odpowiednie przepisy. Od opłaty podatku uwolnione są pomiędzy innemi: warszawsko-wiedeńska, warszawsko-bydgoska, terespolska i fabryczno-łódzka. Zgodnie z projektem wszystkie biura zarządów kolei winny być zaopatrzone w bilety, podobnie jak biura transportowe, towarzystwa akcyjne itd. Dla stacyj wymagane są bilety handlowe. Podatek dochodowy oblicza się na kolejach poręczonych od superdywidendy po za gwarancyą, na kolejach zaś odmiennych — od całości dochodu. Od podatku 3% wykluczone będą te drogi, których ustawy uwalniają je od wszelkich podatków.

W Rzymie zamknięto uniwersytet z powodu manifestacyi przeciwko Bonghiemu.

Do oszczędności kolei Nadwiślańskiej jeszcze się dołącza zniesienie agentur handlowych w Rejowcu i Chełmie. Oddawały one (według *Gaz. lubelskiej*) znaczne usługi miejscowym kupcom i rolnikom okolicznym.

— Na tejże drodze zmniejszono niektóre płace zawiadowców, pomocników, inżenierów, maszynistów itd. Wszyscy ci urzędnicy, których etaty zmniejszono, pobierają obecnie oprócz płacy etatowej dodatki osobiste do wysokości pierwotnej pensyi. Na przyszłość obejmujący świeżo te posady, pobierać będą tylko płace etatowe.

We Wrześni (Poznańskie) w szkole żeńskiej naukę języka polskiego zawieszono.

Muzyka. Schütt, wielce zdolny kompozytor i muzyk przybył z Wiednia i dał się poznać warszawskiej publiczności.

Wystawę akwarel Juliusza Fałata otwarto w salonie Krywulta 20 stycznia.

Bal na rzecz niezamożnych studentów odbył się w Resursie 25 stycznia z wielkiem powodzeniem. Zwolennicy łaźni mogli jej wybornie tam w tłoku używać przy dźwiękach muzyki Lewandowskiego. Za to unikną potów biedacy, którym zabawa da możność zapłacenia wpisu.

W Radomiu w bieżącym miesiącu poczną się odczyty popularne z dziedziny nauk przyrodniczych, hygieny, historyi i literatury. Dochód przeznaczony będzie na szpital miejscowy.

Sklep spożywczy staraniem właściciela ziemskiego założony został we wsi Kijany, w powiecie lubelskim.

Ładny wiek. W wiosce morawskiej Brumor zmarł wyrobnik Józef Mohl w wieku lat 127. Jeden z synów jego liczy 102 lat.

Ofiara. Profesor Yanson znaczną swą bibliotekę, z dzieł ekonomicznych i statystycznych złożoną, ofiarował uniwersytetowi petersburskiemu, dublety zaś księgozbiorowi studenckiemu tegoż uniwersytetu.

Kolej Libawsko - Romeńska, w celu zmniejszenia wydatków, zniosła obsługę czterech aparatów telegraficznych w Mińsku Litewskim. Usunięci (jeden mężczyzna i siedem kobiet) nie mają żadnych środków do życia.

W Koreliczach (pow. nowogrodzki, gub. mińska) z powodu zmiennej pogody panuje zapalenie oskrzeli i błonica, szczególnie pomiędzy dziećmi włościańskiemi bez opieki. Zupełny brak lekarzy dotkliwie odczuwać się tam daje.

W Rydze „Towarzystwo literacko-praktyczne“ obchodziło 85 lat swego istnienia. Utrzymuje ono swym kosztem kilka zakładów naukowych, kuchnię ludową, przytułek noclegowy, instytut dla ociemniałych i zakład św. Magdaleny. W ciągu roku zeszłego kuchnia ludowa wydała 50,600 obiadów; w przytułku znalazło schronienie 17,226 nędzarzów.

Zmniejszenie wsparć. Niektórzy zamieszkali we Francyi polacy pobierają dotychczas pewne wsparcie od rządu francuskiego. Zapomogi te za Rzeczypospolitej znacznie zniżono, a obecnie projektowane jest jeszcze większe ograniczenie. Na mocy okólnika Sevillianta, dyrektora bezpieczeństwa ogólnego, nadal będą korzystali ze stałych zapomóg miesięcznych tylko starsi nad lat 60, pozbawieni przytem wszelkiej pomocy ze strony rodaków i krewnych.

Emerytura. Na nadzwyczajnem posiedzeniu zarządu Rady zjednoczenia urzędników dr. żel. warsz.-wiedeńskiej i bydgoskiej, zgodzono się na podwyższenie składek bieżących do 8% od pobieranych pensyj uczestników i ustanowienie pierwszej pensyi emerytalnej po dziesięciu latach służby. Wniosek, ograniczający prawo emerytalne wdów, odrzucono.

Magistrat m. Warszawy zamówił w Brańsku nową machinę do pogłębiania koryta Wisły. Koszt wyniesie około 40,000 rs.

Wystawa muzyczna otwarta będzie w Warszawie 19 b. m.

Pożar. W Radomiu 22 stycznia spłonęła fabryka zapałek Szotlanda. W ogniu śmierć znaleźli stróż i jego żona.

Rada państwa uchwaliła wszystkie fabryki żelaza i stali w Królestwie Polskiem pociągnąć do opłacania istniejącego w Cesarstwie podatku górniczego 1 i pół kop. od każdego puda surowca.

Minister oświaty okólnikiem rozesłanym do dyrektorów gimnazyów polecił, ażeby uczniowie obowiązkowo odbywali ćwiczenia gimnastyczne raz na tydzień, podczas zimy w sali gmachu, a w lecie na podwórzach szkolnych.

Filemon Zalewski, znany złodziej pocztowy, czyli „defraudant,“ jak go, ze względu na stan, pisma grzecznie nazywają, na mocy wyroku izby kasacyjnej w Wiedniu, ma skróconą karę z ośmiu na sześć lat ciężkiego więzienia.

W Belgradzie ukazała się nowa gazeta *Wielka Serbia* w duchu solidarności serbów i rumunów przeciwko Austryi.

W Moskwie rozpatrywano sprawę przeciwko Tow. drogi żelaznej Riazańsko-Kozłowskiej o wynagrodzenie za kalectwo zrządzone maszyniście Tołokonnikowowi, który, z powodu niewłaściwego skierowania innego pociągu na stacyi Riazań, utracił lewą rękę. Sąd okręgowy wydał wyrok, skazujący Towarzystwo na zapłacenie poszkodowanemu 4,200 rs.

Wystawa powszechna (wielki konkurs międzynarodowy nauk i przemysłu) otwarta będzie w maju r. b. w Brukselli. Celem jej jest, jak głosi zapowiedź, postawienie przemysłu we wszystkich gałęziach na wyższym stopniu rozwoju, fabrykować lepiej, prędzej i taniej. Komitet zaprasza do udziału wszystkie powagi nauki, wiedzy i przemysłu.

Otwarcie Wystawy tkackiej nastąpiło 29 stycznia w lokalu Muzeum przemysłu i rolnictwa. Obszerniejszą wiadomość podamy w innem miejscu.

W Madrycie po przedstawieniu spłonął teatr „Rozmaitości.“ Zginęło trzy osoby.

Departament medyczny przy ministeryum spraw wewnętrznych opracował i ogłosił nowe przepisy, mające zapobiedz wnoszeniu w granice państwa chorób zaraźliwych, a w ich liczbie cholery. Główna uwaga ma być w przyszłości zwróconą na zdrowie osób przybywających z miejscowości dotkniętych zarazą.

P. Józef Nusbaum w uniwersytecie tutejszym d. 29 stycznia b. r. bronił rozprawy swojej p. t. „Przyczynek do historyi rozwoju skorupiaka *Mysis Chamaeleo*. Oponentami z urzędu byli prof. Wrześniowski i Uljanin. Autorowi przyznano stopień doktora zoologii.

Akademia rolnicza w Petrowsku pod Moskwą ulegnie reformie w przyszłym roku szkolnym. Kurs nauk będzie trwał lat 4. Termin przyjmowania studentów od 27 stycznia do 13 lutego.

Wynalazek. P. Jan Melteni przedstawił zarządowi Tow. przemysłu i handlu przyrząd automatyczny, zapobiegający wylewowi wody w zlewach kuchennych, zaznaczający przybór wody w rzekach, oraz zabezpieczający młyny i inne miejsca zagrożone wylewem.

Zmarli. Wincenty Majewski, uczony pracownik, literat i zdolny mówca. Ur. w 1806 r. w Sandomierskiem. Nauki pobierał w szkole radomskiej i uniwersytecie warszawskim. Z tego ostatniego wyszedł ze stopniem magistra prawa i administracyi. W roku 1829 został patronem trybunału cywilnego, jednocześnie rozpoczął współpracownictwo w czasopiśmie *Themis polska*. W r. 1834 został mianowany adwokatem przy sądzie apelacyjnym, potem obrońcą przed departamentem rządzącego senatu. Z M. Mochnackim i Józefem Hube redagował dziennik *Kuryer polski*. Do r. 1863 był radcą prawnym b. Banku polskiego, potem kolei warszawsko-wiedeńskiej. Opracował wspólnie z Wysockim pierwszą polską nomenklaturę dróg żelaznych, oraz zredagował taryfy i przepisy porządkowe. Był twórcą wielu ustaw spółkowych dla cukrowni i innych fabryk itd. Brał udział w redakcyi *Bibl. warsz.* Pozostawił wiele prac w rękopisach.

— W Antwerpii zmarł profesor akademii malarz Dyckmanus.

— W Brukselli, autor dzieł o sztuce, Adolf Sive.

— W Madrycie, pisarz Fernandez Gonzalez.

— W Paryżu, znany muzyk, wirtuoz i kompozytor, Henryk Hertz. Wynalazł t. z. *dactylon*, instrument do rozszerzania dłoni, nadania giętkości palcom i wzmocnienia ich.

— Chantelauze, badacz historyczny francuski. Zapisał swoją cenną bibliotekę i zbiór miedziorytów „Instytutowi Francyi.“

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Hen. Ru. 1) Najszczególniej tą sprawą zajmował się Perez. Niech Pani jeszcze poradzi się pedagogiki Baina. 2) Tylko „Szatzego“ a nie „Szatki.“

P. R. w Zawierciu. O ile mogliśmy odczytać list pański, chodzi o jakiś nadesłany nam artykuł, ale jaki?

P. Stan. Z. Ściśle oznaczyć czasu nie możemy.

Prenum. w Międzyrzecu. Janusza.

Eszetowi. Tak szczerze nie można!

P. S. Gołębiowskiemu w Jałtuszkowie. Prosimy o wskazanie stacyi pocztowej, gdyż Jałtuszkowa poczta tutejsza nie zna.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

OFIARY.

Dla biednych: F. W. rs. 1 k. 30, E. Ruc. k. 72, F. N. k. 45, W. Ł. k. 38, J. S. k. 10, E. Rud. k. 25, 7 J. rs. 1. k. 80 — razem rs. 5.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Января 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.